


Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

**Zmiana adresu kosztuje 40 hal.**

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

**Wychodzi każdej soboty.**

**REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny) Telefon Nr. 498. Naczelny redaktor: Sylwester Chmurkowski**

**Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.**

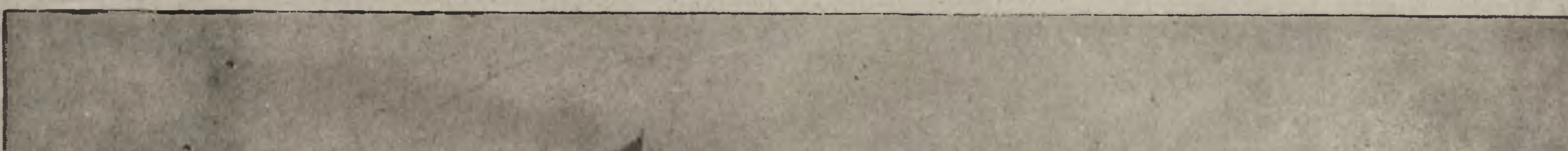
**Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

**Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

**Numer pojedynczy 50 halerzy.**

**Rok XIV.** **Kraków, 1 grudnia 1917.** **Nr. 48.**

# Para cesarska na froncie.



Cesarz Karol wraz z cesarzową Zytą udają się na pokład łodzi torpedowej. (Woj. kwat. pras.).

## Para cesarska na froncie.

Cesarz Karol jest już od dłuższego czasu na froncie włoskim, gdzie, jak wiadomo. osobiście kierował ofensywą. Obecnie monarcha wraz z małżonką, cesarzową Zytą, zwiedzał pola walki ostatnich krwawych zapasów. Z podróży tej pisma podają następujące szczegóły:



**Wojowniczy gabinet francuski:** Prezydent nowego gabinetu francuskiego, Clemenceau.



**Z frontów bojowych:** Pozostawione przez Włochów między Codroipo a Tagliamento ciężkie działa, zupełnie nieuszkodzone. (Woj. kwat pras.).

„W dniu 16. listopada cesarz zwiedził kilka miejsc chlubnej działalności obrony nad Isonzem, która utworzyła podstawę tak pomyślnej ofensywy przeciw Włochom. Monarcha zabawił pewien czas na górze św. Michała, na zwaliskach San Martino del Carsa, na wzgórzu 197 na południe od Sdraussina, o którą tyle walczono, w Doberdo i na Monte dei Sei Busi.

Na wierzchołku góry św. Michała wznosi się pomnik, głoszący prostemi słowy, że spoczywają tam złączeni w śmierci Włosi i Węgrzy. W tem miejscu po większej części walczyły pułki węgierskie. Masy zaś młodzieży włoskiej leżą na ogromnych cmentarzach między Sagrado a Petetano. Włosi poświęcili te ogromne masy, aby w walkach dwu i pół rocznych uzyskać wąski pas ziemi, i wkońcu w paru dniach cofnąć się z konieczności aż za Piave.

W tymże dniu para cesarska przybyła do Tryestu i w sali uroczystościowej Namiestnictwa przyjęła deputacyę hołdowniczą przedstawicieli handlu, komunikacyi i rzemiosł, w której skład weszły wszystkie narodowości zamieszkujące Tryest.

Następnie para cesarska zwiedziła rozmaite urządzenia marynarki wojennej w jednym z portów wybrzeża. Po południu para cesarska wyjechała łodzią torpedową z Tryestu do Porto Rose, a później automobilem do Gorycyi. Stamtąd udał się monarcha na monte San Gabriele. Jechał przez Salcano, gdzie most kolejowy olbrzymiem przęsłem środkowem leży w rzece, oraz ścieżkami wężykowatemi między Monte Santo a Monte San Gabriele. Okolica ta wygląda jakby krajobraz na księżycu: krater obok krateru. Wyboje od pocisków, napełnione wodą, podobne są do jezior. Miliony resztek ostatnich walk pokrywają to olbrzymie smętne pustkowie.

W walkach o Monte San Gabriele jedna z jam odegrała wielką, a chlubną rolę. W jamie tej, zaledwo o jakie 15 kroków za linią nieprzyjacielską, ciągnącą się przez stok góry, trzymali się dzielni obrońcy, chociaż nieprzyjaciel skierowywał bomby, granaty ręczne i ogień działowy na wschód od jamy, tak, że załoga jej była ustawicznie zagrożona ogniem i gazem. A jednak, ilekroć nieprzyjaciel chciał przez gościniec Dol i przez kotlinę Britof posunąć się ku



**Po klęsce Włochów:** Obóz jeńców włoskich w okolicy Cividale przeznaczony przez nich pierwotnie na pomieszczenie wziętych do niewoli żołnierzy austryackich. (Fot. Bufa).

płaskowyżowi Heiligengeist, bohaterscy obrońcy ruszali z jamy i ostrzeliwali z karabinów maszynowych Włochów z tyłu.

Cesarz wzruszony wysłuchał opisu bohaterstwa swych żołnierzy. Następnie pojechał kotliną Britof, gdzie jazda włoska wykonała bezskuteczny atak, a dalej do zagłębia między Monte San Gabriele a górą św. Daniela, skąd wspiął się na Monte San Gabriele. Tam wszystko przypomina zacięte zapasy. Każdy głaz tego wzgórza jest zdruzgotany. Obrońcy nie mogli chować poległych, bo reflektory nieprzyjacielskie także w nocy oświetlały wierzchołek. Monarcha obnażył głowę i głęboko wzruszony odmówił cichy pacierz za spokój duszy poległych tu żołnierzy.

Stamtąd cesarz Karol wrócił do miejsca postoju".

## Po wojowniczem oświadczeniu.

W kuloarach francuskiej Izby deputowanych działy się w dniach 16 i 17. listopada nadzwyczajne rzeczy. Oczekiwano z napięciem oświadczenia nowego premiera francuskiego, p. Clemenceau. Oświadczenie to, według zapowiedzi, miało przeprowadzić bilans 40 miesięcy wojny, proklamować „wojnę do ostateczności" i zapowiedzieć szybki wymiar sprawiedliwości wobec wszystkich pacyfistów i podżegaczy. To też socyaliści i pacyfiści francuscy rozpoczęli odrazu kampanię przeciw nowemu premierowi. P. Clemenceau nie uląkł się pacyfistów i zabrawszy głos, złożył w Izbie następujące wojownicze oświadczenie:

„Stajemy przed wami z jedyną myślą o wojnie nieograniczonej. Nadeszła godzina, w której powinniśmy być tylko Francuzami. Razem z wszystkimi naszymi dobrymi sprzymierzeńcami jesteśmy skałą zaporą, która nie będzie przekroczoną. Francya bierze na się dalsze cierpienia za ziemie wielkich przodków. Popełniono błędy, musimy myśleć tylko o ich naprawieniu. Dopuszczono się też zbrodni, zbrodni wobec Francyi, które wymagają szybkiego ukarania. Bierzemy na siebie zobowiązanie, że nastąpi kara według surowości ustaw bez względu na osoby i na namiętność polityczną. Zbyt wiele już zamachów opłacono nadmiarem krwi francuskiej na naszym froncie bojowym.

Przed sąd wojenny z wszystkimi winnymi! Dość już kampanii pokojowej, dość wichrzeń niemieckich! Nasze armie nie powinny się dostać we dwa ognie. Niech się stanie zadość sprawiedliwości".

Oświadczenie rządowe wzywa dalej ludność do ograniczenia spożycia środków żywności i do podpisywania pożyczki wojennej i kończy:

„Nadejdzie dzień, w którym cały kraj będzie witał nasze zwycięskie sztandary. Jest to w naszej mocy, by dzień ten sprowadzić".

Po tem oświadczeniu premiera, Izba francuska uchwaliła porządek dzienny, wyrażający rządowi zaufanie i zgodę na jego oświadczenie, oraz wiarę w jego czujność w energicznem prowadzeniu wojny i w karaniu tych, którzy popełniają zbrodnie przeciw ojczyźnie.

Prezydent nowego gabinetu francuskiego, w myśl złożonego w Izbie posłów oświadczenia, rozpoczął też energiczną walkę z prądami pokojowymi. Jak donoszą telegramy, wydał on rozkaz aresztowania wszystkich osób, działających na rzecz pokoju. Okazuje się więc, że w chwili, kiedy Rosya zwraca się z propozycyą zawieszenia broni, a we wszystkich państwach rozlega się coraz głośniej wołanie o pokój, we Francyi przychodzi do steru władzy gabinet wojowniczy, na czele z prezydentem Clemenceau, który proklamuje wojnę do ostateczności. Świadczy to niewątpliwie, że koalicya nie myśli bynajmniej ulegać naleganiom obecnego rządu rosyjskiego i zamierza akcyi pokojowej „bolszewików" przeciwdziałać wszelkimi sposobami. Z drugiej jednak strony walka, jaką zapowiedział i rozpoczął Clemenceau z pacyfistami, jest dowodem, że i we Francyi prądy pokojowe muszą być silne, jeśli nowy rząd francuski był zmuszony przeciw nim wystąpić tak energicznie.

Kto ostatecznie zwycięży — czy wojowniczy gabinet Clemenceau utrzyma się długo u władzy — najbliższa przyszłość okaże.



Z frontów bojowych: Szef austryackiego sztabu jeneralnego Arz. na drodze odwrotu Włochów nad Tagliamento (Woj. kwat. pras.).



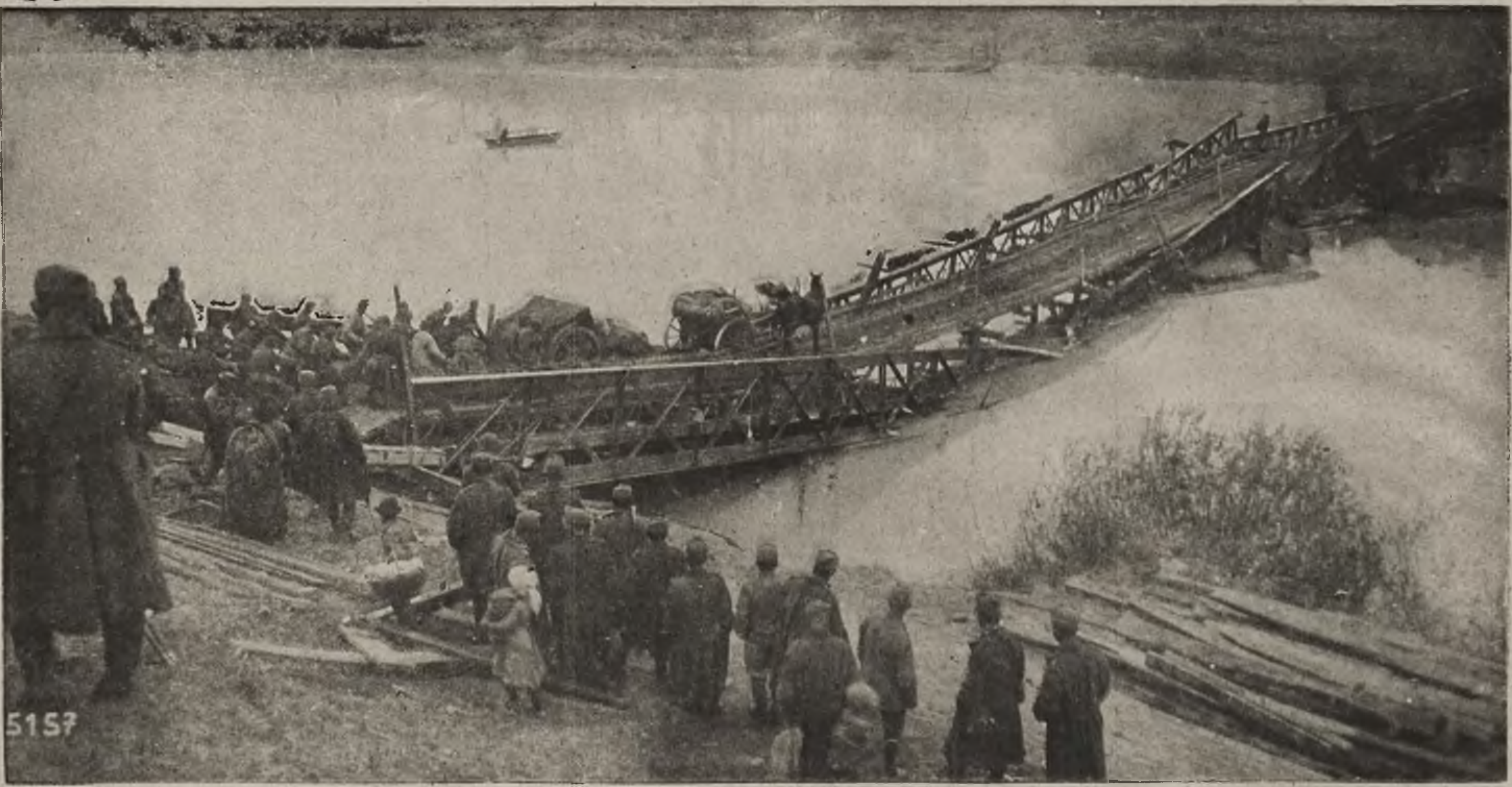
Po klęsce Włochów: Zdobyte przez wojska austryackie zapasy konserw i innych środków spożywczych w Palmanova. (Woj. kwat. pras.)

## Po klęsce Włochów.

Dwunasta bitwa nad Soczą, która miała być, według zapowiedzi rządowych sfer włoskich, uwieńczoną zdobyciem Tryestu, miała wynik zgoła niespo-



Z frontów bojowych: Stanowisko włoskiej artyleryi górskiej w okolicy Cividale. Fot. Bufa




**Z frontów bojowych:** Przejście wojsk austryackich przez prowizorycznie odrestaurowany most na rzece Tagliamento (Woj. kwat. pras.)

dziewany. Tryest pozostał nadal w ręku austryackiem, a front włoski, który przez lat prawie trzy zwolna, ale stale się doń zbliżał, odsunął się odeń na bardzo daleką przestrzeń.

Nie pomógł geniusz Cadorny, nie pomogła pomoc koalicyjnych przyjaciół, ograniczająca się wprawdzie tylko na dobrych radach i wzmocnieniu włoskiej artyleryi, Włosi nie wytrzymali naporu wojsk sprzymierzonych mocarstw i w panicznej ucieczce szukali ocalenia, pozostawiając w ręku zwycięzców setki tysięcy jeńców, tysiące dział najrozmaitszego kalibru i całe mnóstwo innej zdobyczy wojennej, między nią bardzo wiele zapasów żywności na których zabranie lub zniszczenie nie pozostało czasu. W Udine, gdzie znajdowała się niegdyś główna kwatera włoska, ma dziś swą siedzibę niemiecki komendant, a obóz jeńców w okolicy Cividale, przeznaczony przez Włochów na pomieszczenie pojmanych żołnierzy austryackich, zaroił się poprostu... od nich samych. Wystarczy powiedzieć, że jest ich tutaj, w tej tylko jednej miejscowości, ponad pięćdziesiąt tysięcy.

Jak gwałtownem i niespodziewanem musiało być uderzenie wojsk austryacko niemieckich i jak straszny wywołało w szeregach włoskich popłoch i panikę, o tem świadczy droga ich odwrotu, zasłana, w całem tego słowa znaczeniu, najróżnorodniejszym materyałem wojennym, który, jako zdobycz, dostał się w ręce zwycięzcy. Działa, zupełnie nieuszkodzone, pancerne samochody, karabiny maszynowe, całe góry amunicyi wszelkiego rodzaju, tysiące karabinów, całe kolumny trenu, to efekt materyalny dwunastej walki nad Soczą dla mocarstw centralnych. Moralny jest jeszcze większy. Niepowodzenie oręża włoskiego wykazało nie tylko większą sprawność bojową żołnierza austryackiego i niemieckiego, podkopała ufność w genialność Cadorny, ale co najważniejsze, zadało cios, kto wie, czy nie ostateczny, narodowym włoskim aspiracyom, skierowanym w stronę Tryestu.







Wzięci do niewoli oficerowie włoscy

**Po klęsce Włochów**

Żołnierze włoscy, wzięci do niewoli w ostatnich walkach (Fot. Bufa)

**Adam Wiaryga-Minieski.**

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

**Powieść z dni ostatnich.**

25

Lola zadygotała i głowę pokornie opuściła. Przypomniał się jej jeden epizod z lat dziecinnych. W ten sposób popatrzyła na nią matka, kiedy jako dwunastoletnia dziewczynka wykradła się na ulicę, aby się bawić z dziećmi stróża, pomimo wyraźnego surowego zakazu.

Pani Żarnicka niezmiernie rzadko biła swoje dzieci, ale wówczas ukarała Lolę tak straszliwie, że wątła dziewczynka o mało chorobą nie przypłaciła tej macierzyńskiej surowości.

I teraz dorosła już dziewczyna zatrzęsła się nagłą trwogą, jakby ją i obecnie ta sama kara za opór spotkać mogła.

Ale matka odrazu zmieniła ton na łagodniejszy.

— Uspokój się, moje dziecko!... Mógłby cię kto posądzić, że jesteś zazdrosna!...

Pani Żarnicka dobrze znała słabe strony charakteru swej córki.

W Loli zagrała boleśnie dotknięta ambicya...

— Nie!... Nie!... Nigdy w życiu!...

— Wierzę ci — zapewniała spokojnie matka — nie wątpię, że tak nie jest. Panna Żarnicka nie może być zazdrosną o amanta jakiejś awanturnicy, która na nieszczęście została jej bratową... Zapewne godny adorator wart swojej partnerki... Dobrana para!...

Dziewczyna ściskała kurczowo ręce. Chwilowy rumieniec ustąpił znowu miejsca żółtawej bladości.

— A Konrad... — szepnęła bezdźwięcznie.

— To nie do ciebie należy... Pozostaw to mnie... A teraz idź do swojego pokoju... Napij się zimnej wody i natrzej skronie kolońską wodą. Na noc zażyjesz proszek bromu...

Lola wyszła posłusznie, jak dziecko.

— Mama jest bardzo, bardzo mądra... — myślała. — Konrad jej nie posłuchał i oto co się dzieje... I ja nie chciałam wierzyć, jaka ta Józia jest podła i chytra... Lubiłam ją, jak kogo najlepszego!... A teraz wiem, wiem... przekonałam się... Zapóźno!...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Józia tego wieczoru pozostała bez kolacyi. Nikt jej nie wołał do wspólnego stołu, ani też służąca nie przyniosła jej jedzenia do pokoju.

Nie zwróciła na to jednak uwagi, bo głodu nie czuła wcale. Gdyby ją nawet kto zmuszał, nie mogłaby przełknąć żadnego kęska przez ściśnięte gardło.

## ROZDZIAŁ XIV.

### List pani Żarnickiej do syna.

Drogie moje dziecko! Możesz sobie wyobrazić, jak ucieszyłam się wiadomością, że masz służbę niezbyt uciążliwą i dobre warunki życia. Jak to dobrze, że ci pozwolono mieszkać prywatnie!

W każdym razie uważaj na siebie. Przy twojem wątłem zdrowiu, najlżejsze zaziębienie może się stać szkodliwem. Czy tylko aby jesz porządnie?... Posyłam Ci paczkę, znajdziesz w niej trochę Twoich ulubionych przysmaków, ale gdybyś jeszcze czego potrzebował, to pisz zaraz, albo nawet telegrafuj.

Pytasz, drogi Synu, o Twoją żonę i prosisz mnie o wyrozumiałość dla jej młodości i dziecinnego usposobienia.

Moje dziecko!... Gdybyż to była tylko lekkomyślność młodości i dziecinne, jak powiadasz, usposobienie!...

Niestety, mylisz się, Konradzie!... Twoja żona nie jest dzieckiem i wady jej nie pochodzą z roztrzepania, ale źródło ich tkwi głębiej. Brak należytego wychowania, brak zasad i wrodzona samowola i kokieterya!...

Tak, Konradzie, wiem, że Cię to zaboli, co piszę, ale w bawełnę obwijać nie mam zamiaru, boć to mój obowiązek — powiedzieć Ci prawdę!

Byłam przeciwną Twojemu małżeństwu z Józią... Postąpiłeś wbrew mojej woli, więc właściwie powinnam umyć od wszystkiego ręce, ale jesteś mojem dzieckiem, a serce matki...

Przyjęłam więc ciężkie zadanie, jakie na mnie włożyłeś: opiekę nad Twoją żoną!... Starałam się wypełniać tak tę opiekę, jak mi nakazywały rozum i miłość dla Ciebie, Konradzie, ale... Cóż Ci mam powiedzieć? Powiem krótko: Józia jest uosobieniem krnąbrności, hardości i samowoli!...

Tyś jej nie znał, Konradzie, kiedyś dał się uwieść pięknym oczom i kokieteryjnym minkom!...

Ja patrzyłam głębiej!... Myślałeś może, że mnie tylko o posag chodziło, kiedy chciałam odsunąć Józię od Ciebie? O! Nie, moje dziecko, nie o to tylko... Naturalnie, pieniądze nie są rzeczą do pogardzenia — chyba się obecnie możesz o tem dowodnie przekonać... Jednak brak posagu można przeboleć... Dzięki Bogu, nie jesteśmy nędzarzami... Tylko te inne, czysto moralne powody mojego oporu...

Nie chcę Ci mówić rzeczy zbyt bolesnych, więc myśli mojej nie kończę...

Pytasz, co masz sądzić o liście bezimiennym?... Kto może być jego autorem?... Nie wiem i nie domyślam się. Ale to przecież właściwie rzecz podrzędna, kto pisał anonim.

Nie znam również treści dokładnej tego bezimiennego listu... Przypuszczam nawet z góry, że są tam rzeczy mocno przesadzone... Ale jakieś źdźbło prawdy tkwić w tem może i tkwi prawdopodobnie...

W każdym razie jest to dowód, że żona Twoja zwraca na siebie uwagę i to wcale nie z najlepszej strony...

Konradzie!... Konradzie!... Nie znalazłeś panny Maliniewicz, kiedyś jej dawał nasze nazwisko!...

Bez ogródki Ci powiem, Konradzie, że źle wybrałeś... I to Ty, moje dziecko, który mogłeś wybierać pomiędzy najlepszemi!...

Ha! Stało się... Czy to się da naprawić i jak, nie wiem i przesądzać tego nie mogę.

Nie będę się rozwodziła na temat krnąbrności i zuchwałego zachowania się Józi względem mnie. Dla Ciebie, moje dziecko, gotowam i to przyjąć, chociaż nie przywykłam, aby mnie ktoś w moim własnym domu traktował bez należnego mi uszanowania...

Ale są rzeczy gorsze... Nie mogę pozwolić i nie pozwolę, aby moja synowa narażała się na wielce niepochlebne gadaniny ludzkie, aby rzucała cień na nasze nazwisko, na nasz dom... Muszę o tem pamiętać, że mam jeszcze córkę na wydaniu...

Józia uznać tego nie chce i niedawno byłam zmuszona skarcić ją dosyć ostro.

Trudno!... Sądzę, że jej to tylko na dobre wyjdzie!...

Czego zrozumieć wprost nie mogę, to przyjaźni, którą Józia zawarła... nie zgadbyć z kim — z Larchówną!...

Jest to conajmniej dziwne!

Również jest dla mnie nie do pojęcia taka lekkomyślność, aby młoda mężatka narażała na szwank swoje dobre imię, odbywając długie, samotne spacery z młodymi ludźmi...

Smutne to — ale niestety prawdziwe!

Nie przejmuj się tem tylko zbytnio, moje drogie dziecko... Szkoda nerwów i zdrowia... Może przecież Józia zmieni się... Kto wie.. Wprawdzie uparte, samowolne charaktery przerabiać trudno, ale ostatecznie nie jest to niemożliwe.

Czekajmy!... Radziłabym Ci, Konradzie, abyś się do żony z żadnemi nie zwracał wymówkami. Takich rzeczy nie załatwia się listownie. A Józia sprytna jest... nawet trochę zabardzo... Zresztą, bądź spokojny! Ja jestem i czuwam!...

Równocześnie z tym listem przesyłam Ci czek na czterysta koron. A może więcej trzeba Ci pieniędzy?

Ściskam Cię i całuję
Twoja kochająca matka.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

### List Łuniewskiego do Józi.

Pani!... Nie! Nie pani!... Józiu, cudzie mój promienny!...

Może gwiaździste Twoje oczęta spojrzą z przerażeniem, kiedy przeczytają te słowa... Może oburzysz się moją śmiałością i szczerością... Wszak wobec prawa i ludzi należysz do innego... jesteś mężatką...

Ale ja już dłużej kłamać, ukrywać się i walczyć ze sobą nie chcę... Kocham Cię, Józiu, jak szaleniec — kocham i pragnę, żebyś była moją!...

Nie przerażaj się, dziecino! Nie niosę Ci hańby i nieszczęścia, ale miłość i wolność!...

Zbrodnię popełnili ci ludzie, którzy Cię do małżeństwa popchnęli...

Ja wiem, Józiu, że Ty mnie nie kochasz jeszcze... boś Ty, ptaku cudny, nie kochała dotychczas nikogo, prócz własnego marzenia o kochaniu...

Ale ja Ci serce moje u nóg rozścielę i chwila po chwili, godzina po godzinie będę zdobywał Twoją miłość...

Nieświadome życia dziecko poszłaś za głosem człowieka, który w niedołęstwie swojem i egoizmie nie umiał Ci nawet stworzyć znośnych form codziennego, powszedniego bytu...

Dostałaś się pod jarzmo ludzi złych, niskich brutalnych!

To gorzej, jak więzienie, Józiu!...

Ja nie mogę już dłużej patrzyć spokojnie, jak depczą mój kwiat wymarzony!

Chodź ze mną, Józiu, z tego domu niewoli!...

Na cichej, zielonej wsi, takiej, jaką kochasz, mam słoneczny, biały dom... Tam zamieszkasz, dopóki nie przeprowadzę kroków rozwodowych...

Będziesz tam panią... żadne napastliwe żądło nie ośmieli się ukłóć Cię...

Józiu!... Chodź ze mną! Kocham! Kocham i tęsknię!...

Julian.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

### List Józi do Łuniewskiego.

Szanowny Panie! Właściwie nie powinnam Panu odpisywać, ale być może, że nieświadomie zawiniłam wobec Pana, więc odpiszę krótko.

— Tak! Ma Pan słuszność — list Pański przejął mnie przerażeniem... Nie oburzyłam się na Pana, ale przeraziłam się samej siebie. Zrozumiałam, jak ja muszę być zła i głupia, jakie moje zachowanie musi być niewłaściwe, jeżeli Pan ośmielił się w ten sposób do mnie pisać!

Widocznie bezwiednie dałam Panu do tego powody! Ale nie chciałam, niech mi pan wierzy! Tylko już coś takiego we mnie jest, co mnie samej i innym ludziom, którzy się ze mną zetkną, jakąś biedę gotuje!...

Pan się myli!... Nie jestem już dzieckiem i męża mojego kocham, jego tylko jedynie! I nie pójdę z Panem, ani z nikim innym!

Ale jak Pan śmiał odzywać się tak brutalnie o nim?! Nie Pan jest jego sędzią!

I proszę Pana, abyśmy się już więcej nie widzieli i oświadczam Panu, że wtedy, kiedy mnie tak ciężko obraził, to była nasza ostatnia rozmowa. A ten list do Pana jest także pierwszy i ostatni.

J. Żarnicka.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— Dziękuję ślicznie! Padam do nóg! — kłaniał się nizko listonosz, który otrzymał od Łuniewskiego hojny napiwek.

Julian niecierpliwie skinął ręką. Listonosz znikł za drzwiami.

Łuniewski rozdarł podłużną kopertę, zaadresowaną rozwichrzonem trochę pismem kobiecem i pałające oczy wlepił w biały arkusik.

List był krótki, ale wrażenie silne. Łuniewski zbladł i zaciął zęby.

Zmiął w ręku arkusik, zgniótł go gwałtownym ruchem.

Pięknie wykrojone usta pod ciemno-blond wąsem ułożyły się w brzydki grymas.

Z poza zaciśniętych zębów wyrwały się zduszone słowa:

— Kokietka!... Lalka!... Syrena!...

## ROZDZIAŁ XV.

— Panna Józia!... Panna Józia!... Pani! Doprawdy!... Skąd pani tutaj w Łykowie?!...

Radość szczera, ogromna przegląda się w siwych przeźroczach oczu młodego legionisty, drga w jego szczerym sympatycznym głosie, który zdaje się łamać z nadmiaru wzruszenia.

— Jurek!... Jurek!... — wyrywa się zdumionej Józi. I jej źrenice rozbłyskują uciechą.

— Więc to pan, panie Jerzy!... — poprawia się zaraz młoda mężatka. — A to niespodzianka.

Sploty się ręce w serdecznym, przyjacielskim uścisku. Oczy chłopca promienieją i błyszczą, jakby srebrem nalane.

— Panna Józia!... Tyle lat!... szukałem... pisałem... nie było odpowiedzi...

Figlarny uśmiech przemknął się po wargach Józi.

— Ja już nie jestem panną, panie Jurku. Wyszłam za mąż.

Twarz Jurka przybladła nagle i przygasła.

— Za mąż... — powtórzył z jakąś wielką żałością. — Tak się pani pospieszyła...

- Cóż robić?... Zakochałam się... — odpo-

wiedziała otwarcie Józia, spoglądając na chłopca wzrokiem jasnym, pełnym życzliwości.

— Ach! Tak... W takim razie, oczywiście... A ja myślałem, że może...

— Że może ojciec mnie przymusił — podchwyciła. — O! nie... Ja sama wybrałam...

Jurek wbił oczy w bruk ulicy. Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Młody żołnierz przerwał je pierwszy.

— Tak mnie to zaskoczyło... Bo ja marzyłem... Co tam o tem gadać... Teraz... Pani wybrała już... Pani jest mężatką i ja z całego serca życzę pani wszystkiego najlepszego.

Spojrzenie miał dziwnie szczere i poczciwe. Uśmiechał się trochę smutnie, ale bez cienia jakiejkolwiek złośliwości. Widać było po nim, że życzenia jego płyną z głębi serca, że przezwyciężywszy żal egoistyczny, pragnie dla niej istotnie wszystkiego najlepszego.

Józia była wzruszona. Powiało ku niej dobrocią, ogarnęło ją ciepło czystego, bezinteresownego uczucia.

Wyciągnęła znowu do towarzysza rękę, nie zważając, że przechodnie oglądają się za nimi ciekawie. Jakieś dwie panie uśmiechnęły się znacząco i pogardliwie.

— Dziękuję panu — powiedziała miękko młoda mężatka — pan jest dobry, zacny, poczciwy... Ja wiem... pan był taki zawsze... pan mi naprawdę dobrze życzy...

— Jakżeby mogło być inaczej, panno... pani Józiu...

— No i chyba pan żalu do mnie nie ma? — filuterne ogniki zapaliły się na krótką chwilę w oczach Józi. — Ta studencka miłość dla mnie to już panu pewno dawno wywietrzała z głowy. To przecież była dziecinada tylko! Przecież to już pięć lat temu, jakeśmy się ostatni raz widzieli. Mnie o mało nie wyleli z „budy", a pana mama wywiozła z Krakowa.

Jurek Borzecki nie odpowiadał. Może niezupełnie wywietrzała mu z głowy „dziecinada", może miłość piętnastoletniego gimnazisty wlokła się za nim świetlistą smugą wspomnień, marzeń i tęsknot.

— Ja mam dobrą pamięć, pani Józiu — wyrzekł wreszcie — a o pani tak łatwo nie zapomina się...

— Ech!... Ileż to pan ma lat teraz?

— Dwadzieścia kończę. — Chłopiec mimowolnie podniósł rękę do górnej wargi, pokrytej złocistym puszkiem.

— A ja mam dwudziesty... Widzi pan, coby to była z nas za para!... O, nawet wąsy jeszcze porządnie nie urosły. Byłoby tak, jak Baśka z Nowowiejskim: „on nie ma wąsów, a ja rozumu" — śmiała się Józia, spoglądając mu jednak słodko i trochę niespokojnie w oczy.

Przykro byłoby jej, gdyby ten towarzysz lat dziecinnych, ten pierwszy, gorący wielbiciel okazał, że ma do niej urazę. Lubiła go zawsze, a teraz tak ucieszyła się tem spotkaniem!... Stęskniona była za jakąś poczciwą, przyjazną duszą.

— Nie mówmy o tem — westchnął Jurek — mówmy lepiej o pani. Jakże się pani teraz nazywa?

— Żarnicka... Konradowa Żarnicka — powtórzyła z pewną dumą.

Jurek zastanowił się.

— Obiło mi się to nazwisko o uszy, ale nie pamiętam gdzie i kiedy. Więc mąż pani mieszka w Łykowie?

— Obecnie jest przy wojsku — wyrzekła bardzo smutnie.

— O!... — w tonie jego głosu i spojrzeniu przebijało prawdziwe, niekłamane współczucie. — To dlatego pani ma taką bladą, smutną, mizerną buzię... Na którym froncie jest?

— Mój mąż przeznaczony jest do służby pozafrontowej.

— A, tak! To nie ma powodów do zbyt wielkiego niepokoju. Pani tutaj sama?

— Mieszkam u teściowej.

Nie wiedziała o tem sama, że w głosie jej zabrzękła nuta goryczy, a twarz spochmurniała momentalnie.

Jurek wpatrzył się w nią uważnie, badawczo.

— Pani się zmieniła...

— Zestarzałam się bardzo, prawda? — roześmiała się jakoś nerwowo.

— Ale gdzież tam!... Oczywiście, że rozwinęła się pani i wyrosła i wypiękniała jeszcze... — ogarnął ją spojrzeniem cichego, nieśmiałego zachwytu.

— O! Pan Jurek od komplementów zaczyna. Nie trzeba...

— To nie komplementy. Mówię szczerą prawdę. I dawniej pani była cudna, ale teraz to już poprostu... Tylko, że dawniej to była taka wesoła, śmiejąca się, figlarna Józia, a teraz...

— A teraz co?...

— A teraz pani bardzo przybladła, zmizerniała i nie śmieje się pani już tak często, głośno i szczerze i oczy pani ma takie smutne... Dawniej, pamiętam, było jakieś zmartwienie, wypłakała się panna Józia, wytupała nóżkami, a za chwilę już jak promień słoneczny, jak ptak rozśpiewany...

Józia westchnęła mimowolnie.

— Inne czasy... Inne zmartwienia... Nie zawsze jest się pustem dzieckiem... Trzeba myśleć trochę poważniej.

Jurek intuicyjnie odczuwał, że ona nie mówi mu całej prawdy. Czyżby nie była szczęśliwą?

— Pani coś dolega... bardzo... bardzo... — powiedział cicho.

Odwróciła głowę, bo ją mieszało jego badawcze spojrzenie.

— Teraz ja powiem: nie mówmy o tem... Dokąd pan idzie?...

— Chwilowo bez celu... A pani?...

— Ja do domu.

— Czy mogę panią odprowadzić?

Zawahała się chwilę, ale przemogła w niej chęć dłuższej z Jurkiem rozmowy.

— Owszem, proszę. Może pójdziemy przez ogród miejski.

— Niech pani zechce prowadzić. Ja niezbyt dobrze oryentuję się, bo dawno już nie byłem w Łykowie.

— A co pan tutaj robi?

— Dostałem urlop i przyjechałem odwiedzić cioteczną siostrę. Pani ją może zna.

— Ja znam w Łykowie bardzo mało osób. Jakże się nazywa pańska cioteczna siostra?

— Teresa Larchówna. Jest urzędniczką na poczcie.

— Panna Larchówna! A to zdarzenie dopiero! To pańska kuzynka?

— Więc ją pani zna?

— Ależ, tak! To jedyna w Łykowie życzliwa mi dusza — dokończyła ciszej.

Jurek spojrzał na nią dziwnym wzrokiem, napół przerażonym, napół zdumionym...

— Jedyna?!... Jakto?!... A...

Józia spostrzegła, że niepotrzebnie zdradziła się. Różowa łuna rumieńca oblała na chwilę jej twarzyczkę dziwnie w ostatnich czasach zmalałą i pobladłą.

— E!... To mi się tylko tak powiedziało... bo... ja bardzo lubię pannę Teresę.

— Tak... — spojrzenie Jurka stawało się coraz bardziej badawcze i niespokojne. W siwych oczach zaświeciła serdeczna troska.

— Panno... pani Józiu...

— Co? — odwróciła zmieszana głowę, unikając jego spojrzenia.

— Pani... pani tak wygląda... obym się mylił... jakby pani nie była bardzo szczęśliwa.

— Jakże mogę być bardzo szczęśliwa, kiedy mąż mój daleko.

— No tak, ale przecież pisuje napewno do pani i nic mu złego nie grozi, skoro...

Józia nerwowo szarpała jakąś kokardkę przy swojej ciemno-granatowej bluzce (jasne bluzki nosić przestała, aby nie słyszeć uwag świekry o drożyźnie mydła i rzucanych niby mimochodem utyskiwań Joasi, że „dla młodszej pani to tylko słój i pierz, tak, jakby człowiek nic innego nie miał do roboty").

Żeby uniknąć tego, młoda kobieta nawet chusteczki swoje, pończochy i ręczniki prała sama na miednicy, ale tu znowu wchodziło w grę owo nieszczęsne mydło i skargi służącej, że się „froterowana posadzka na nic zachlapie".

Zgryzoty codziennego życia powlekały bladością twarz młodej mężatki, zgasł dawny wesoły uśmiech i oczy miały wyraz smutku pomieszanego z jakiemś nieustannem zalęknieniem.

Spotkanie z Jurkiem rozweseliło trochę i ożywiło Józię. Zapomniała na chwilę o swoich strapieniach.

Ale chłopiec wyczytał snać z jej twarzy to, coby przed całym światem ukryć była rada.

Nie chciała się zwierzać — skarżyć wstydziła się. Zapragnęła też co rychlej odwrócić od siebie uwagę towarzysza i skierowała rozmowę na inny temat.

— Ależ to pan wyrósł, panie Jurku! — przerwała mu, nie pozwalając dokończyć — i zmężniał!... Gdyby mnie pan nie zaczepił, to kto wie, czy bym poznała.

— Tak bardzo się zmieniłem? To chyba tylko powierzchownie. Ja znowu wszędzie i zawsze poznałbym panią, choć i pani zmieniła się.

— I jak panu do twarzy w mundurze! Więc pan w legionach służy! O! jakże panu zazdroszczę! Ja, gdybym była chłopcem...

Urwała, ze zdziwieniem spoglądając na legionistę. Jakaś głęboka, ponura zmarszczka przecięła mu nagle to gładkie, białe jak u dziewczyny czoło, białością swoją odbijające od ogorzałej twarzy. Jakby się postarzał w jednej chwili.

— Kiedyśmy wyruszali, to wtedy rzeczywiście ja sam sobie zazdrościłem. Ale teraz — doprawdy niema czego zazdrościć — mruknął niechętnie.

— Jakto?

— Czyż pani nie wie? Czyż pani nie słyszy? Czyż pani nie czyta gazet?!

Zawstydzona zakryła oczy powiekami.

— Wcale teraz prawie nie dostaję gazet do ręki... I nikt mi nie opowiada... Wiem, że jakieś zamieszanie, wrzenie, ale myślałam, że to nic groźnego.

Szli teraz cienistą aleją miejskiego ogrodu. Siedzące na ławkach panie i panny obserwowały ich pilnie.

Jurek spoglądał przed siebie posępnym wzrokiem. Cichym głosem, w którym drgało cierpienie, mówił:

Co robić?... Co robić?... Gdzie iść?... Tyle nadziei... Tyle trudów... Tyle krwi przelanej... Byłem wśród tych, co pierwsi poszli... co pierwsi wkroczyli do Kielc... Tylu... tylu wiernych towarzyszów zginęło... Mnie oszczędzały kule... A jednak szczęśliwsi, co znaleźli żołnierski grób, zanim przyszło to straszne rozbicie, te wahania... Lepiej by było gdybym i ja...

— Panie Jurku, co pan mówi?! — Otwartemi szeroko źrenicami wpatrywała się w niego, jak w tęczę. Szło ku niej tchnienie rzeczy wielkich, świętych, echo krzyków rozpacznych, które na cały świat dzwoniły! Gdzie iść?... Co robić?... Gdzie Polska...

— Wierzyłem... wierzyliśmy wszyscy... A teraz ciężko rzucać ten sztandar ukochany, a zostać przy nim... O! jakże trudno jest w tym zamęcie znaleźć drogę do Polski. Ech!... — machnął ręką i zaciął usta.

Józia łagodnie, delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. Nie widziała, że pani Kożuchowska i pani Mizerska zanoszą się od śmiechu.

Co ją w tej chwili obchodził cały Łyków. Duszyczka Józina budziła się. Było jej tak, jak wówczas, kiedy w ciszy dojrzewających pól uczuła po raz pierwszy, że kocha tę ziemię czarną i rozumie, co mówi do niej słońce.

— Panie Jurku, proszę nie rozpaczać. Będzie wszystko dobrze. Ta krew nie może pójść na marne.

— Co pani wie... Co pani wie...

— Może nie wiem, ale czuję. A pan opowie mi jeszcze więcej, dużo, dużo o tych wszystkich rzeczach, żebym nie była taka głupia... Bo przecież i jabym chciała.

Przemknęło jej przez myśl, dlaczego Konrad, dlaczego żaden inny mężczyzna nie chciał jej nigdy uczyć czego innego, oprócz miłości.

Może jeden Michnik, ale on był taki niezgrabny, nieśmiały...

— Jutro w nocy jadę do Krakowa — rzekł Jurek.

— Już jutro?! O! jakbym i ja z panem pojechała...

— To niech pani jedzie!

Aż oczy jej zaświeciły i stały się do żywych turkusów podobne.

— Gdyby to można!

— Ale można! Można! Dlaczegóżby nie! Jeżeli pani ma ochotę!

— Odwiedziłabym ojca... — snuła głośno swoją myśl. Po przeżyciach łykowskich dom ojca wydawał się Józi jakimś rozkosznym, cichym zakątkiem.

— Naturalnie. Ja jadę także do mojej mamy.

— O! Pamiętam dobrze pańską mamę. Taka wysoka, energiczna, brunetka. Bardzo mnie nie lubiła. Widać nie mam szczęścia do matek.

Jurek znowu popatrzył na nią badawczo.

— Do matek?... Więc i matka męża pani?...

Józia skinęła w milczeniu głową.

**(Ciąg dalszy nastąpi)**



**Wystawa „ekspresyonistów“ polskich:** Panneau dekoracyjne i płasko rzeźba Zb. Pronaszki.




**Na ziemi włoskiej**: Plac Wiktora Emanuela w Udine. Po lewej stronie ratusz (municipium), gdzie się mieści obecnie niemiecka komenda. (Fot. Bufa)

## Wystawa „ekspresyonistów“ polskich.

Od paru tygodni w gmachu Tow. Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie na placu Szczepańskim otwarto wystawę grupy artystów, którzy nazwali się „ekspresyonistami“. I trzeba odrazu dodać, że wystawa ta cieszy się niebywałem powodzeniem; od czasu otwarcia zwiedziło ją parę tysięcy osób. Od dłuższego już czasu żadna wystawa w salonie sztuki na placu Szczepańskim nie ściągnęła takiej liczby zwiedzających.

Należy to niewątpliwie przypisać oryginalności wystawy „ekspresyonistów“. Dzieła sztuki, na niej zgromadzone, uderzają na pierwszy rzut oka odrębnością traktowania tematów, swoistością sposobu kompozycyi i indywidualnym stosunkiem twórców zarówno do dzieła samego, jak do widza. Ten ostatni znajdzie się wobec niektórych z wystawionych dzieł w pewnym kłopocie, wobec nieprzyzwyczajenia oka do nowego konwenansu formy, stosowanego przez ekspresyonistów. Trzeba dopiero wejścia w ten świat nowych form i nowych pomysłów, aby się w nich zoryentować i ocenić ich własne piękno.

Ekspresyoniści polscy nie są zjawiskiem odosobnionem. Sztuka ich pozostaje w łączności z najnowszymi prądami europejskiego zachodu — neoimpresyonizmem, kubizmem, po części nawet futuryzmem. Wszystkie te prądy cechuje dążenie do wydobycia w obrazie możliwie najsilniejszego wyrazu istoty przedstawianego przedmiotu, niezależnie od jego cech zewnętrznych i przemijających. Obok tego zaś dążenie do wytworzenia własnego stylu, stylu nowoczesnego, któryby tak charakteryzował



**Wystawa „ekspresyonistów“ polskich**: Fragment ściany z rzeźbami Gwozdeckiego i pejzażami Mierzejewskiego.

naszą epokę w sztuce, jak np. charakteryzuje styl gotycki średniowiecze, jak styl odrodzenia lub baroku charakteryzują stanowczo i swoiście pewien okres życia europejskiej cywilizacyi. W ekspresyonizmie te dwa dążenia nowoczesnych prądów artystycznych łączą się i harmonizują. Stąd też płynie sympatya ekspresyonizmu dla kierunków prymitywistycznych w sztuce, nie wyłączając sztuki ludowej, ujawniona na krakowskiej wystawie przez wystawienie razem z dziełami polskich ekspresyonistów malowideł podhalańskich na szkle. Prymitywy bowiem, bez względu na to, skąd początek swój biorą, ujmują w obrazie kształt najogólniejszy przedmiotu, będący zarazem jego wyrazem; stąd też trafiają w sedno, w istotę rzeczy, a jednocześnie, podporządkowując szczegóły formie ogólnej, dążą do wytworzenia stylu. Stąd też pokrewność prymitywów z ekspresyonizmem. Lecz to, co w prymitywach jest tylko nieświadomą tendencyą, ekspresyoniści czynią dziełem świadomego dążenia. Dzieło sztuki każde, każdy obraz, winien żyć własnem życiem, posiadać własną logikę formy, niezależną od kształtów natury, które są rzeczą przypadku, podczas gdy formy obrazu są dziełem wyboru, dokonanego przez indywidualność danego artysty. A ten wybór u ekspresyonistów zdąża w kierunku ujmowania przez formę najwnętrzniejszej istoty rzeczy — co jest ich stylem, a co zawsze zresztą było hasłem każdej wielkiej sztuki.

Oczywiście, ekspresyonizm nie osiągnął jeszcze pełni swego wyrazu. Wystawa krakowska daje wy



**Wystawa „ekspresyonistów“ polskich**: Ściana z pejzażami Hrynkowskiego i Czyżewskiego oraz kompozycyą Mierzejewskiego.



**Wystawa „ekspresyonistów“ polskich**: Wielopłaszczyznowy obraz T. Czyżewskiego „Głowa“.



**Na ziemi włoskiej**: Jeńcy włoscy, zajęci porządkowaniem placu Wiktora Emanuela w Udine. (Fot Bufa)

niki początków tego ruchu w Polsce, reprezentowane przez dzieła artystów, którzy, niezależnie od wspólności dążeń, zachowali różnice swych indywidualności. Najdalej może posunięte w kierunku osiągnięcia harmonii, będącej jednocześnie nowym stylem, są dzieła Zbigniewa Pronaszki, w sposób konsekwentny i artystyczny dążące do połączenia organicznego malarstwa z architekturą. Odrębną piękność posiadają obrazy kompozycyjne utalentowanego malarza J. Mierzejewskiego, bardziej zbliżone do kierunku kubistycznego, podczas gdy pejzaże olejne, a w jeszcze większym stopniu rysunki J. Hrynkowskiego wykazują pokrewieństwo ze świadomym prymitywizmem w jędrnem ujmowaniu formy, wznoszącem się od akademickiej poprawności do stylowej prostoty i syntetyczności. Najwszechstronniejszym znowu w tej grupie wydaje się T. Czyżewski, który w pejzażach swych ukazuje dążenie do koncepcyi syntetycznej przez ujęcie w karby świadomego, stylowego wyboru kształtów natury, w kompozycyach hieratyczną niemal prostotę i powagę formy, w wielopłaszczyznowych obrazach — pomyśle oryginalnym — pewną wspólność z futuryzmem, przez dążenie do wyrażenia niestałości, płynności wszelkich kształtów, tej najistotniejszej właściwości świata form, która jest ruchem. Pokrewny mu jest w swych kompozycyach barwnych Andrzej Pronaszko, malarz równie utalentowany jak oryginalny w swej twórczości o tematach religijnych. Harmonizują z dążeniami ekspresyonistów pejzaże i kompozycye T. Niesiołowskiego, bliższe jednak neo impresyonizmowi, oraz G. Gwozdeckiego (również rzeźby) M. Kislinga z Paryża, J. Rubczaka, Kramsztyka, Głębowskiego. Odrębne poniekąd stanowisko zajmuje W. Skoczylas, którego drzeworyty stylem swym i traktowaniem zbliżają się do prymitywów podhalańskich, oraz L. Chwistek, bardzo oryginalny i mocny w dwóch swoich kompozycyach olejnych, zatytułowanych „Miasto“ i E. Zak, wzory dla swego syntetycznego i prymitywistycznego traktowania pejzażu czerpiący w sztuce wschodu, przedewszystkiem, zdaje się, perskiej. Całość wystawy świadczy, że mimo niesprzyjających warunków wojennych, w malarstwie polskiem istnieje pęd do szukania nowego piękna, zdolny do ujawnienia się nawet w wysiłkach zbiorowych. *St. M.*

## Z frontów bojowych.

Kampania włoska toczy się dalej, po części w górach po części na równinie weneckiej, a przebieg jej dowodzi, że wojska włoskie przeważnie nie doszły jeszcze do równowagi. Coraz to wątpliwszem się staje, aby Włosi mogli utrzymać linię Piavy. Zajęcie Asiago przez wojska Conrada zagraża im z flanki, a przez opanowanie Feltre sprzymierzeni stanęli już w tem miejscu, gdzie linia włoskich pozycyi odchyla się od rzeki, aby oprzeć się na zachodzie o góry. Od Feltre aż do ujścia, Piave rozdziela obie armie, a przeprawa przez nią nie będzie łatwa, gdyż o tej porze roku rzeki alpejskie zalewają całe swoje szerokie koryta, a ich bystry prąd stanowi poważną przeszkodę dla budowania drewnianych mostów. Zdaje się, że na północ od linii Piava Feltre Valsugana niema już nigdzie oddziałów włoskich i obie prowincye, Udine i Belluno, znajdują się całkowicie w rękach wojsk austryacko-niemieckich.

Dalszy obrót kampanii zależy przedewszystkiem od walk toczących się w południowo wschodnich tyrolskich Alpach. Jeżeli wojskom austryackim powiedzie się przełamać silnie ufortyfikowane pozycye włoskie między Asiago i Valsugana i zejść na niżinę w kierunku Schio i Bassano, w takim razie Włosi będą musieli opróżnić spiesznie całą przestrzeń pomiędzy Piavą i Adygą i szukać schronienia dopiero za tą ostatnią rzeką. Wówczas padłyby odrazu miasta Treviso, Wenecya, Vicenza i Padwa, a Włosi probowaliby oparcia o słynny w historyi włoskich wojen czworobok twierdz Mantua Verona-Peschiera Brescia, który już tyle razy był widownią zaciętych bitew.



**Z frontów bojowych**: Ogień huraganowy nad Soczą przed ruszeniem wojsk mocarstw centralnych do ostatecznego ataku (Woj. kwat. pras.)

Nie łatwo zdecydują się Włosi na opróżnienie tych pięknych i bogatych okolic, ważnych pod względem ekonomicznym i aprowizacyjnym; we-



**Na ziemi włoskiej**: Przed budynkiem komendy niemieckiej, pomieszczonej w budynku municipium udyńskiego (Fot Bufa)

necka bowiem prowincya należy do tych nielicznych na półwyspie apenińskim terenów, gdzie rolnictwo bujnie rozkwita, dostarczając pożywienia całym środkowym Włochom. Odwrót przytem będzie bardzo trudny, gdyż w tym równym terenie nie łatwo znaleźć zasłonę, potrzebną dla ustawienia artyleryi, którąby powstrzymywała napór nieprzyjaciela. Utrata Wenecyi odbije się także bardzo niekorzystnie na operacyach floty włoskiej, która zostanie pozbawiona swego najlepszego i największego portu na Adryatyku.

Dotychczasowy przebieg działań wojennych na froncie włoskim nasuwa przedewszystkiem pytanie, co spowodowało tę niebywałą klęskę Włochów. Odpowiedź na to daje korespondent „Arbeiter Ztg.“ Autor nazywa katastrofę armii włoskiej wypadkiem



Wystawa „ekspresyonista'ów" polskich: Portret T. Czyżewskiego.

paradoksalnym, którego doniosłość przerosła nawet rachuby zwycięzców. Mylnem jest przedewszystkiem zapatrywanie, jakoby Włosi zostali atakiem nad Soczą zaskoczeni, spodziewając się ataku od strony Tyrolu. — Przeciwnie — komenda włoska przeczuwała, co się święci. Świadczy o tem np. znaleziony przez autora w Udinie numer „Corriere della Sera“ z 23 października, przepowiadający, że terenem najbliższych rozstrzygnięć wojennych będzie front nad Soczą, podający nawet szczegóły o armii Belowa. Być może, że Cadorna, złudzony ruchami



Na ziemi włoskiej: Plac Wiktora Emanuela w Udine w dniu zajęcia miasta przez wojska mocarstw centralnych. (Fot Bofa).

w Tyrolu, odkomenderował w inną stronę kilka z 48 dywizyi, wprowadzonych do walki podczas jedenastej bitwy nad Soczą pewnem jest jednak, że do ostatniej chwili rozporządzał w tym punkcie dostatecznemi siłami do wytrzymania ciosu i względna przewaga sprzymierzonych nie mogła być zbyt wielką. Zresztą faktem jest, że żadna z armii sprzymierzonych nie potrzebowała czynić użytku z liczebnej przewagi, umieszczonej w rezerwach, ani armia Belowa, ani Kossaka, ani Krausa, lecz niejako pierwszym rozmachem sprowadziły rozstrzygnięcie.

Sukces ten tłumaczy się oczywiście w pewnej części gorszemi kwalifikacyami żołnierza włoskiego. Korespondent zwykle sceptycznie słuchał zapewnień austryackich żołnierzy, że, gdy przyjdzie do ofenzywy, to Włochów rozniosą, i uważał to za tradycyjne przechwałki z czasów Custozzy. Jednak okazało się, że ci ludzie mieli obiektywną racyę, czując się bitniejszymi, niż Włosi. Główną przyczyną klęski było jednak przecenianie we Włoszech talentu Cadorny. Uważano go tam za geniusza, tymczasem był to tylko ostrożny i rutynowany sztabowiec generalny. Jego decyzye dojrzewały bardzo powoli i nie okazywał on wiele intuicyi wojennej. Dziwna rzecz, że jego kolegom włoskim nie wpadło w oczy, jak kolosalny błąd popełnił Cadorna zaraz z początku kampanii, gdy, wahając się, stanął przed słabo bronionym Krasem i stał tak długo, aż się obrona dostatecznie wzmocniła. Ale oficyalne Włochy i dziś jeszcze wolą wierzyć w pośledniość talentu uwielbianego wodza o nazwisku, zawierającem te same głoski, co jego antagonista, Conrad.

Ciężkim błędem włoskiego kierownictwa było, że, nieposzołomione sukcesem na płaskowyżu Bainsizza, uważało ten punkt za centralny punkt świata i patrzało na niego jak zahypnotyzowane. Atak sprzymierzonych, jak się zdawało Cadornie, mógł mieć na celu tylko powstrzymanie włoskiego przedarcia się ku dolinie Idryi, gdyż to zagroziłoby od flanki przyczółek mostowy tolmiński. Zwłaszcza komendant drugiej armii, generał Capello, uparł się, że atak może wyruszyć tylko z północnego kąta Bainsizzy, i skupił wszystkie swoje rezerwy do kontrataku ku dolinie Idryi w obszarze Auzzy. W istocie też po równomiernym, tylko sześcio-godzinnym ogniu hura-



Z frontów bojowych: Po przełamaniu trzeciej armii włoskiej nad Tagliamento (Woj. kwat. pras.)



**Z frontów bojowych:** Teren rozstrzygających walk w czasie dwunastej bitwy nad Soczą (Woj. kwat. pras.)

ganowym na całym froncie, tam nastąpił atak grupy Kossaka i złamał pierwsze linie włoskie. To właśnie umocniło Capello w jego dyagnozie strategicznej, słał on brygadę za brygadą, odzyskał teren i chciał



**Na ziemi włoskiej** Wojska mocarstw centralnych w przemarszu przez Cividale (Fot. Bufa)

Kossaka wyprzeć jeszcze z jego stanowisk. Austryackie dywizye trzymały się jednak i powoli, wraz z siłami drugiej armii, działającemi od południa, zdołały wciągnąć całe wojsko Capelli w obręb Auzzy,

tymczasem zaś niespodzianie od północy zwaliło się na Włochów nowe nieszczęście.

Był to atak niemiecki od Tolminu i z wąskich dolin Alp Julijskich. Włosi nie przypuszczali, ażeby przyczółek tolmiński, dozwalający na rozwinięcie się zaledwie dwom dywizyom, mógł służyć całej armii za podstawę operacyjną.



**Na ziemi włoskiej:** Odpoczynek żołnierzy niemieckich na ulicy w Udine (Fot. Bufa.)

## Na ziemi włoskiej.

Ostatnia ofenzywa państw sprzymierzonych zmieniła zasadniczo położenie militarne na froncie włoskim. Gdy dotychczas Austro-Węgry prowadziły przeważnie defenzywę w granicach własnego państwa, obecnie walka toczy się na terenie włoskim, gdzie wojska sprzymierzone zdobyły szereg miast, a między innemi główne miasto prowincyi, Udine i Cividale, leżące w tej samej prowincyi.

Pierwsze z tych miast, Udine, jest jednem z piękniejszych we Włoszech. Posiada wiele wspaniałych budynków, pomników i zabytków sztuki. Tak samo i Cividale obfituje w liczne zabytki. Posiada katedrę z 1502 roku, baptysteryum z VIII w., archiwum rękopisów, muzeum starożytności i t. d.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg fotografii z tych miast włoskich — po zdobyciu ich przez wojska sprzymierzone.

## Wieczory Turskiego.

Dwie i pół godziny śmiechu, śmiechu szczerego, zdrowego, to skarb nieoceniony w dzisiejszych ciężkich czasach.

Sympatyczny autor „Krowoderskich zuchów“ może być dumnym z siebie, gdyż dokazał tej sztuki, że ludzie najpoważniejsi, znękani troską wojenną,



**Wieczory Turskiego:** Stefan Turski.

u których uśmiech na ustach nieczęstym bywa gościem, śmiali się, śmiali się aż do łez.

Powiedział gdzieś Makuszyński, że u nas w Polsce na widok człowieka śmiejącego się mówimy: „albo waryat, albo coś ukradł“. Otóż, gdyby zobaczył wracające z wieczoru Turskiego te tłumy narodu, tłumy roześmiane, rozbawione, które na wspomnienie dowcipów Turskiego długo jeszcze śmiać się będą zmieniłby z pewnością zdanie.

Wszystkie postacie Turskiego są kapitalne: „Ardzius zdemobilizowany“, „Pucfik oficerski“, „Imć pan Majer w wojsku“, „Maciuś Pośturchaj“, „Ritter von Halbintelligent“. Bogactwo w pomysłach i treści, a wykonanie wprost koncertowe.

Humor i piosenka, humor serdeczny, który rozśmiesza nas do łez! Za ten śmiech, śmiech prawdziwy, w tych ciężkich, wojennych czasach, krakowska publiczność, dosłownie natłoczona w sali „Sokoła“, po trzechletniem niewidzeniu, oklaskiwała gorąco swojego ulubieńca, p. Stefana Turskiego.

**Piotr Zaccone**

# Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: **Marya Segeny.**

I.

W dniu 25. grudnia 19.. roku wieczorem szalała nad Paryżem burza, która długo pozostała w pamięci mieszkańców. Wicher ze świstem wpadał w ulicę i szamotał płomieniami lamp gazowych, przechodnie biegli szybko szukając schronienia, a dorożki i powozy ociekające wodą, dudniały głośno po śliskim asfalcie bruków.

Ciężkie, ołowiane chmury gnane wichurą przesuwały się błyskawicznie po niebie, drzewa bulwarów szumiały rozpaczliwie, dotykając gałęziami ziemi, a rynny kamienic wylewały z siebie potoki mętnej, pienistej wody. Wkrótce ulice miasta opustoszały zupełnie i noc zapadła nad miastem, noc ciemna i przerażająca, wypełniona ogłuszającem wyciem wiatru, trzaskiem łamanych gałęzi i łoskotem szyldów sklepowych obijających się o ściany kamienic.

W drzwiach niewielkiego hotelu na ulicy św. Jakóba ukazał się człowiek, owinięty w długi, szeroki płaszcz nieprzemakalny. Twarz miał bladą i niespokojną. Chwilę obserwował bacznie burzę wzmagającą się wokoło niego, wychylił głowę z wysokiego kołnierza płaszcza i spojrzał na chmury pędzące szybko nad drzewami. Ale w tej samej chwili silniejsza fala wiatru z deszczem uderzyła z impetem o bramę hotelu, tak, że mężczyzna, zalany od stóp do głowy, zmuszony był cofnąć się z progu.

— Widzi pan — odezwał się drugi człowiek, stojący w zagłębieniu bramy — że szaleństwem byłoby wybierać się w drogę, na czas tak straszny.

— A jednak ja tam być muszę! — odpowiedział mężczyzna w płaszczu.

— Burza nie uspakaja się wcale.

— Muszę jechać.

— Może lepiej zaczekać do jutra. Przez noc burza się uspokoi i ranek może być pogodny.

— To niemożliwe.

— Radzę jednak przeczekać choć parę godzin.

— A czy śmierć czekać będzie? — wyrzekł ostro mężczyzna zniecierpliwionym głosem.

Zaległo chwilowe milczenie.

Ale hotelarz nie chciał się widocznie uznać za pokonanego, a może rzeczywiście zależało mu na gościu, bo po przerwie krótkiej, niezrażony znowu nalegać zaczął.

— Sądzę, że pan hrabia pozwoli się przekonać — odezwał się — Proszę tylko patrzeć, co się tam dzieje. W pięć minut zostanie pan hrabia przemoczony do nitki. Wicher jest tak gwałtowny, że z pewnością wyrywa w lesie drzewa z korzeniami. Czy pan hrabia nie obawia się wypadku?

— Lękem się tylko przybyć za późno! Już dziesięć lat go nie widziałem! Dziesięć lat przywołuje mnie do siebie. Czy chcesz, żeby mnie przeklął w ostatniej godzinie swojego życia? Nie, nie mój Andrzeju! Ja jechać muszę. Bądź zdrów stary i nie obawiaj się o mnie.

— Życzę w takim razie panu hrabiemu szczęśliwej podróży. — rzekł z żalem hotelarz — Proszę tylko o rzecz jedną...

— Cóż takiego?

— Żeby pan hrabia zdrów i cały powrócił jaknajprędzej.

Hrabia uśmiechnął się i podał mu rękę.

— Zobaczymy się wkrótce, mój przyjacielu. — odparł — Podczas mojej nieobecności pilnuj dobrze rzeczy, które pozostawiłem w pokoju.

Mówiąc to, wyszedł na ulicę.

Już od pewnej chwili koń osiodłany stał przed bramą, wyrywając się niecierpliwie z rąk chłopca stajennego.

Młody człowiek dosiadł go zręcznie i skinąwszy jeszcze ręką hotelarzowi, ruszył galopem i wkrótce zniknął na zakręcie ulicy.

Koń biegł ze spuszczoną głową, ślizgając się niekiedy, zwalniając biegu, kiedy silniejszy napór wichru uderzał go w pierś. Jeździec wkrótce minął przedmieście Saint-Marceon, wydostał się na bulwary wewnętrzne i skierował się w końcu ku dolinie przeciętej rzeczką.

Na prawem wybrzeżu tej rzeczki, mniej więcej o cztery kilometry od Paryża wznosiła się willa.

Obszerny, angielski ogród otaczał wytworne zabudowanie z czerwonej cegły, noszące na sobie cechę budowli z czasów Ludwika XIII.

Do willi prowadziła szeroka aleja wysadzana starymi kasztanami. Za bramą żelazną rozciągał się podworzec, urozmaicony gęstym, niskim trawnikiem, podchodzącym aż do peronu.

W wieczór ten dwa okna parterowe willi były oświetlone.

W pokoju sypialnym, bogato umeblowanym, paliła się u sufitu lampka nocna, rzucając niepewne blaski na łóżko z baldachimem, cofnięte w róg alkowy.

Na łóżku tem spoczywał starzec o długich, białych włosach, o twarzy bladej, zniszczonej cierpieniem. Długa jego koścista ręka czepiała się konwulsyjnie fałdów jedwabnej kołdry, wzrok miał niespokojny i wylękły, usta sine, z których wydobywał się z trudem krótki, świszczący oddech. Znać było, że śmierć czaiła się nad tem wyniszczonem ciałem, z którego życie ulecieć mogło lada chwila, przynosząc ze sobą spokój i zapomnienie.

Przychodzi czas, w którym zewnętrzne formy życia zanadto ciążą nad wyczerpanym i osłabionym organizmem.

Lata, trudy i zgryzoty ciągnęły tego starca ku śmierci, nie pozostawiając mu żadnej nadziei ratunku.

Niedaleko łóżka, przed kominkiem, na którym tlił się słaby ogień, siedział głęboko zasunięty w fotel mężczyzna, zda się zupełnie obojętny na to, co się wokoło niego działo. Ani jęk ni skargi umierającego nie mogły go wyrwać z ponurego milczenia, w którem był pogrążony.

Wyraz jego twarzy miał w sobie coś odpychającego. Włosy czarne, krótkie i twarde, sterczące nad wąskiem, wypukłem czołem, brwi rudawe i gęste, spadające aż na oczy wąskie o złośliwym, upartym wyrazie. Policzki twarzy wystające, ciemnym cegłastym odcieniem znaczone, nos krótki, ścięty, ginący prawie w ciemnym zaroście. Szerokie, przystrzyżone faworyty poszerzają jeszcze tę twarz o nienormalnej budowie. Mężczyzna ten, rozrośnięty w ramionach, z krótką szyją przypomina z wyglądu siłacza jarmarcznego. Ubranie jego prostacze podnosi jeszcze brutalną cechę całej jego osoby.

Chory kilkakrotnie poruszył się niecierpliwie na łóżku. Wyciągnął z pod kołdry chudą, pomarszczoną rękę, uniósł cokolwiek głowę i powiódł dokoła spojrzeniem, w którem błyszczała przedśmiertelna gorączka. Suchy, głęboki kaszel wydobył się z jego zapadniętej piersi, a kiedy atak minął, opadł na poduszki bezsilny z czołem pokrytem kroplami potu.

Podczas tego mężczyzna, spoczywający w fotelu, niewzruszony wcale rozpaczliwym stanem chorego, flegmatycznie nałożył przygotowaną fajkę i zapalił ją.

— Boże... mój Boże!... — szepnął chory z wyrzutem — On nie nadchodzi... Czy go już nie ujrzę więcej?

Mężczyzna nie poruszył się.

— Pozostawiają mnie samego... opuszczają... — żalił się dalej starzec słabym głosem — nie widzę już nic prawie... ciemność mnie otacza... Paskalu! Paskalu, gdzie jesteś?...

Ale wołany milczał dalej, popijając wino ze szklanki, stojącej na małym stoliczku przy kominie.

— Paskalu... odezwij się... — błagał rozpaczliwie chory — odpowiedz... widzisz przecież, jak cierpię..., to śmierć już... słyszysz, a ja boję się... boję się umierać, nie ujrzawszy przedtem moich ukochanych dzieci...

Służący poruszył się nareszcie i spojrzał w stronę łóżka zimnym wzrokiem.

— Pan mnie wołał? — zapytał obojętnym, znudzonym głosem.

— Więc jesteś tutaj?

— Nie odchodziłem wcale.

— Ale on?... On? Paskalu.

— Kto taki?

— Mój syn!...

Paskal wzruszył ramionami.

— No i cóż? Widzi pan, że nie pospieszył wcale na wezwanie. — odburknął gniewnie.

— Gdzież on jest teraz?...

— Niech pan o tem nie myśli.

— Obojętność twoja zabije mnie.

— Czy nie ma pan przy sobie dwóch ludzi, którzy kochają pana, którzy nie opuścili pana tak, jak inni, siostrzeńców swoich?

— Tak — szepnął starzec — moi siostrzeńcy są tutaj... Wiem o tem, ale to nie są moi synowie, mój Boże! Na ich przywiązanie liczyć nie mogę...

Mówiąc to chory odwrócił się ku ścianie, aby ukryć łzy napływające mu do oczów.

Widząc to służący zaglądnął się jeszcze wygodniej w fotelu i przymknął oczy. Potrzebował zdrzemnąć się po kilku szklankach wina, które melodycznie wysączył.

Po chwili chrapanie śpiącego zmieszało się z cichemi skargami starca i znowu cisza zaległa pokój.

Teraz wyraźnie dochodził od czasu do czasu szmer podniesionych głosów z przyległego pokoju.

Pokój ten był również oświetlony, ale tylko jedną, niewielką świecą, pomimo, iż w złoconych kandelabrach, stojących na wysokich postumentach, mieściło się ich więcej.

Ogień na kominku wygasł zupełnie i w pokoju panowało zimno dotkliwe, lecz przebywający w nim dwaj mężczyźni, zda się, nie odczuwali go zupełnie.

Siedzieli w milczeniu, baczną zwracając uwagę na szmery, dochodzące z sypialnego pokoju. Niekiedy zamieniali ze sobą niespokojne spojrzenia, a zdarzało się to, ilekroć zdawało im się usłyszeć odgłos jakiś, wpadający z zewnątrz willi. Zachowanie ich zdradzało gorączkowe oczekiwanie i niepewność.

Jeden z nich, młodszy, mający lat około trzydziestu, byłby dosyć przystojnym, gdyby nie przedwczesne zniszczenie twarzy i ostry wyraz ciemnych, głęboko osadzonych oczu. W oczach tych, w których przelatywały teraz niedobre błyski, czytać było można jakieś silne, niezłomne postanowienie.

Rysy jego towarzysza nie wyrażały już tej energii i stanowczości. Czoło wysokie osłaniały rzadkie, siwiejące już włosy. Twarz była szeroka, spłaszczona, szczęki grube i wydatne, broda ścięta równo, nadawała jej rys brutalny i zwierzęcy.

Pomimo rażącego braku podobieństwa, obydwaj byli braćmi. Byli oni siostrzeńcami starca, który dogorywał w przyległym pokoju.

Przed nimi na stole leżał duży zwój pergaminu, od którego spojrzenie ich oderwać się nie mogły.

Był to sporządzony akt testamentu następującej treści:

„To jest mój testament, spisany własnoręcznie z całą świadomością umysłu i woli.

W nieobecności obydwóch synów moich, zaginionych od lat dziesięciu i których pomimo gorliwych poszukiwań odszukać nie mogłem, powierzam siostrzeńcom moim pieczę nad całym moim majątkiem, wynoszącym z górą trzy miliony franków.

Akta, sprawdzające ten majątek, złożone są w kancelaryi notaryusza mojego, pana Mirvaud w Paryżu, który obowiązany jest je doręczyć siostrzeńcom moim po mojej śmierci na pierwsze ich żądanie.

Jedną czwartą część mojego majątku zapisuję siostrzeńcom moim, którzy staną się posiadaczami wszystkiego, jeżeli synowie moi się nie zgłoszą po sukcesyę w terminie przez sąd wyznaczonym.

Przez czas ten dochody wszystkie wypłacone zostaną siostrzeńcom moim.

Gdyby tylko zgłosił się syn mój jeden, będzie miał prawo do podjęcia sumy przypadającej na niego, gdyby zaś skonstatowana została śmierć drugiego, siostrzeńcy moi mają prawo żądać pełną połowę mojego majątku.

Chcę niniejszem rozporządzeniem ukarać dzieci moje, które z obojętnością opuściły mnie w wieku, w którym najbardziej potrzebowałem ich opieki i przywiązania".

Takim był akt, który obydwaj mężczyźni odczytali kilkakrotnie z błyskiem niepohamowanej radości w oczach.

Pismo jego było drżące i niewyraźne. Nieszczęśliwy starzec spisał go zapewne pod dyktatem siostrzeńców, którzy musieli mu dopomódz w tej mozolnej czynności, bo spostrzedz było można wiele liter, poprawionych odmiennym charakterem pisma.

I kiedy nareszcie po wielu trudach i namowach zdołali akt ten wymusić na nieprzytomnym już prawie starcu, udali się bezzwłocznie do drugiego pokoju, aby spokojnie odczytać go raz jeszcze i omówić plany przyszłości, przedstawiającej im się w jak najjaśniejszych kolorach.

— Nareszcie jesteśmy bogaci — odezwał się starszy mężczyzna, wskazując na pergamin, leżący na stole.

— Tak! Nareszcie! — powtórzył młodszy z głębokiem westchnieniem ulgi.

— I pomyśleć, że wszystko zależało tylko od wytrwałości naszej i zręczności... bo przecież mógł żyć jeszcze, synowie jego mogli powrócić, a wtedy nadzieje nasze spełzłyby na niczem.

Starszy uśmiechnął się zimno.

— Musimy przyznać sami, że cała sprawa po mistrzowsku została przeprowadzona. Hrabia jest niedowierzający — trzeba było użyć wiele przebiegłości, aby niszczyć listy wysyłane przez niego, oddalić wszystkich jego przyjaciół i zatrzymać go w tej willi, gdzie nikt nie wie o jego istnieniu.

— Możemy teraz być spokojni przez rok cały!

— Tak, ale gdyby za rok synowie powrócili?

— To niemożliwe.

— Dlaczego? Zwabić ich może spadek po ojcu.

— Kto wie?

— Obawiam się tego.

— Ah! Gdyby oni nie żyli! Gdyby ten kolosalny majątek mógł w całości pozostać w naszych rękach!

— Niema się nad czem zastanawiać!

— A jednak myśl ta od pewnego czasu nie opuszcza mnie wcale. Czy ty rozumiesz, jakie nas życie czekać może? W dostatku, w szczęściu, w spokoju, aż do starości naszej.

Spojrzenie, które towarzyszyło tym słowom, było tak wymowne, że młodszy mężczyzna przybladł lekko i niespokojnie spojrzał na brata.

Ale równocześnie odgłos stłumiony dobiegł z sypialni do pokoju i skoncentrował ich uwagę w tamtą stronę.

— Co to być może? — szepnął starszy.

— To wuj...

— To on tak jęczy?

— Nie... zdaje mi się, że to chrapanie Paskala.

Starszy brat zmarszczył brwi niecierpliwie.

— Czy ty jesteś jego pewny? — zapytał.

— Jak siebie samego.

— Znasz go dobrze?

— To człowiek o dzikich instynktach.

— Doprawdy.

— Można go tylko ułagodzić złotem.

— To dobrze, kto wie, czy on nam potrzebny nie będzie, bo widzisz, mój kochany...

Silny dźwięk dzwonka przerwał jego słowa.

— Co to jest? Ktoś tu przybywa — wymówił z przerażeniem widocznem.

Nie powstał jednak z miejsca, jakgdyby obezwładniony lękiem, jaki go nagle ogarnął.

Odgłos poruszanego dzwonka musiał dobiedz również do drugiego pokoju, bo chory poruszył się niespokojnie na łóżku i wyszeptał, ożywiony jakąś nieokreśloną nadzieją.

— Ktoś dzwoni... Pascalu... biegnij otworzyć... Czy słyszałeś? To może on! To mój syn!

— Ładna sytuacya! — rzekł jeden z mężczyzn z wściekłością — Ten stary może ma słuszność. Wzywa syna, a jeżeli to naprawdę on.

— Co robić?

— Trzeba znaleźć radę za wszelką cenę.

— Za wszelką cenę?

— Tak, jeżeli masz trochę odwagi, bo mnie jej brak. Rozumiesz mnie, nieprawdaż? Niebezpieczeństwo nadchodzi, musimy być przygotowani na wszystko.

Spojrzeli na siebie bacznie, jakgdyby chcąc odgadnąć myśli, czające się w ich mózgach i nagle twarze ich rozjaśniły się, oczy zapaliły gorączkowym blaskiem.

Zrozumieli się!

Niepokój, który ich dręczył, zamienił się w pozorną obojętność i nikt po zimnym wyrazie ich twarzy nie byłby odgadł strasznego postanowienia, które się w tej chwili w ich duszach zrodziło.

— Paskalu! Paskalu — rozległ się znowu zduszony głos starca — To on! To on! Dlaczego nie idziesz otwierać. Przeczuwałem, że pospieszą do konającego ojca, że zapragną jego błogosławieństwa. Ach! Mój Boże! Niechajże wejdą, oczekuję ich z takiem utęsknieniem.. chciałem ich wydziedziczyć, ale teraz oddam im wszystko, wszystko!

Ale służący nie poruszył się nawet.

— Paskalu — błagał rozpaczliwie chory — miej litość, ja konam... Idź otwórz... słyszysz... idź otwórz natychmiast... Bóg cię wynagrodzi... nie odmawiaj mojej ostatniej prośbie, Paskalu litości... błagam cię...

Służący, którego głos umierającego nareszcie wyrwał na chwilę z obojętnego milczenia, w którem się zasklepił, powstał z fotela i zbliżył się do łóżka. Na twarz jego wystąpił ironiczny uśmiech.

— To jest przewidzenie, panie hrabio. — wyrzekł szorstkim stanowczym głosem — Synowie pana są daleko. Nie oni to dzwonili. Pan hrabia się pomylił. To wicher tak świszcze po parku. Niech pan hrabia się lepiej uspokoi i postara zasnąć.

— Nie, nie! Ja umieram...

— I to być może. — zaśmiał się drwiąco służący.

— I nie zobaczę ich przed śmiercią.

— Pan hrabia nie powinien myśleć o nich, okazali tyle niewdzięczności.

— Boże! mój Boże! Miej litość nademną. — jęknął starzec, bezsilnie opadając na poduszki!

Tymczasem burza uspakajała się powoli. Deszcz nie dwonił już o szyby, a chmury rozchodzić się zaczęły po rozjaśnionem niebie. Ciszę panującą dokoła przerywał tylko szmer kropli spadających miarowo z dachu willi i ciężki oddech służącego, zapadającego znowu w sen głęboki.

I znowu dzwonek zajęczał przy bramie, szarpnięty niecierpliwą ręką. Donośny jego dźwięk odbił się długiem echem po pokojach i korytarzu domu.

Starzec otrząsnął się z odrętwienia, w którem był pogrążony, uniósł się na poduszkach i zawołał głosem, w którym czuć było ostatni wysiłek energii:

— To jeden z moich synów! Paskalu! Ty mnie oszukujesz! Ale ja wiem, ja przeczuwam! Paskalu! Gdzie jesteś! Rozkazuję ci otworzyć!

Służący, zbudzony tem rozpaczliwem wołaniem, zadział lekko, powstał i chwilę stał niezdecydowany. W końcu mruknął coś niezrozumiałego pod nosem i pospieszył do drugiego pokoju, gdzie znajdowali się obydwaj bracia. Stanął na progu, jakgdyby czekając na rozkazy, obojętnie patrząc przed siebie.

— Czy odpowiadasz mi za tego człowieka — zapytał cicho młodszy brat, pochylając się.

— Odpowiadam za jego milczenie.

— A więc niech się stanie, co się stać musi. Paskalu — dodał zwracając się do służącego. — Idź i przyprowadź tu tego, który śmie obecnością swoją zakłócać spokój tego domu.

Paskal usłuchał rozkazu w milczeniu, przeszedł powolnym krokiem korytarz i zniknął na zakręcie schodów, pogrążonych w ciemności.

Obydwaj siostrzeńcy pozostali sami, wsłuchani w odgłos oddalających się ciężkich kroków, a kiedy cisza już zaległa korytarz, jeden z nich podszedł szybko do drugiego i chwytając go za ramię, wymówił z przyciskiem:

— Czy zrozumiałeś mnie dobrze?

— Ten środek jest jednak straszny!

— Czy wolisz więc być pozbawionym wolności i wieść do śmierci życie nędzarza?

— Nie wiem doprawdy, co mam ci na to odpowiedzieć.

— Wahasz się, jak widzę.

— Lękam się.

— Kogo? Paskala? Zapłacimy mu za milczenie, co zaś do hrabiego, to chwile jego są już policzone. Kogóż więc obawiać się potrzebujesz?

— Tego, który tu teraz wejdzie, nie znamy go, nie wiemy, z czem przychodzi.

— Co znowu, to dzieciństwo, nas jest dwóch, a tylko jeden on tu przybywa, bez podejrzeń i bez broni, my zaś jesteśmy w pogotowiu. Patrz, w tej szafie widzę dwa pewne, niezawodzące sztylety, które nie zdradzą użytku, jaki z nich zrobimy.

Mówiąc to, starszy brat podszedł do szafki i z pomiędzy różnorakiej broni, wybrał dwa krótkie sztylety, o błyszczącej stali i dotykając palcami ostrzy, sprawdził ich wytrzymałość i gibkość.

— Ostrza te są doskonałe i nie zawiodą nas — oznajmił głosem zadowolonym — bierz i naśladuj mnie we wszystkiem. Za chwilę sprawa załatwiona zostanie.

Drugi wspólnik ujął broń i ścisnął jej rękojeść nerwowym ruchem.

— Dobrze! Niech i tak będzie — odparł z przekonaniem — teraz ten młokos przyjść już może.

— Trzeba jednak tak działać, aby nikt nie mógł się domyślić, że tej nocy morderstwo zostało tu popełnione.

— Masz słuszność. Cóż uczynimy z trupem?

— Cicho! Nadchodzą już! Jeżeli zawahamy się w ostatecznej chwili, jesteśmy zgubieni, pamiętaj!

— Lęk mnie ogarnia... Krew pozostawia po sobie niezatarte ślady...

— Jesteś tchórzem! Odwagi! Zbierz całą przytomność umysłu! Uderzenie musi być pewne i śmiałe! Uspokój się! To, co uczynimy, pozostanie na zawsze w głękokiej tajemnicy.

Na schodach rozległy się już kroki przyspieszone dwóch ludzi. Bracia skoczyli do drzwi, któremi wejść miał nowoprzybyły. Młodszy jednak, osłabiony wzruszeniem odbierającem mu potrzebną energię, wsparł się ramieniem o ramę drzwi, oddychając ciężko. Pomimo, iż zdecydowany był na popełnienie zbrodni, lęk śmiertelny opanował go w chwili, w której potrzebował największej siły i zimnej krwi. Starszy brat dostrzegł nerwowe drżenie jego ciała, bo odezwał się pogardliwie, mierząc go ostrem spojrzeniem:

— Trzęsiesz się ze strachu, jak dziecko! Cóż, do djabła! Czy nie jesteś mężczyzną? Chodzi tu przecie o całe nasze życie! Opamiętaj się, bo źle może być z nami!

— Bądź spokojny! Pierwsze wrażenie minęło! On musi umrzeć i umrze! — odparł młodszy brat zduszonym głosem, prostując się energicznie.

Równocześnie drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł młody mężczyzna, owinięty w szeroki, długi płaszcz, tuż za nim postępował Paskal.

— Ojciec mój! Gdzie jest mój ojciec! — zawołał nowoprzybyły, rozglądając się bacznie w około.

Ale nie uszedł dwóch kroków, kiedy z za drzwi wyskoczyło dwóch mężczyzn z podniesionymi sztyletami.

Młody człowiek jęknął głucho, zatoczył się i napróżno szukając rękami oparcia, zwalił się ciężko na podłogę.

Z dwóch głębokich ran, zadanych w plecy, krew trysnęła strumieniem, rozlewając się ciemną plamą po dywanie.

Uderzenia zbrodniarzy były śmiertelne. Bez słowa, z oczami rozszerzonemi zgrozą, stali przy drzwiach, patrząc z osłupieniem na swoją ofiarę, dogorywającą u ich stóp. Przez chwilę jeszcze ciało młode i silne broniło się rozpaczliwie przed śmiercią, podrzucane okropnymi dreszczami agonii, ale w końcu bezwładnie legło spokojnie, nie dając już znaku życia.

Podczas tej okropnej sceny, starzec umierający, jak gdyby przeczuwając mord popełniony obok siebie, ostatniemi resztkami sił usiłował powstać z łóżka i biedz na spotkanie syna. Ale morderby nie zwracali uwagę na jego szamotanie się bezskuteczne i rozpaczliwe wołania.

Teraz, kiedy już zbrodnia popełniona została, należało przedewszystkiem pomyśleć o usunięciu zwłok i wszelkich śladów, mogących zdradzić tajemnicę.

Jeden z morderców pobiegł do sypialnego pokoju i przekonawszy się, że starzec wydaje już ostatnie tchnienie, powrócił do towarzyszów i zwrócił się do brata, który, ogłuszony popełnionym czynem, siedział wsparty o krzesło, nieprzytomny prawie ze wzruszenia.

— No, wstawaj! — zawołał, potrząsając go brutalnie za ramię. — Nie pora teraz na rozmyślania. Popełniliśmy zbrodnię, musimy teraz przyjąć na siebie jej konsekwencye. Jedynie tylko ten człowiek zdradzić nas może — dodał szeptem, wskazując na służącego, stojącego przy oknie. — Tylko z tej strony grozić nam może niebezpieczeństwo, a posunęliśmy się zanadto, aby teraz cofać się w połowie drogi. Trzeba się przekonać, czy liczyć na niego możemy.

Od chwili wejścia do pokoju, Paskal stał niewzruszony, przypatrując się i słuchając w milczeniu. Twarz jego obojętna i zimna nie zdradzała żadnego wrażenia. Szept braci wywołał tylko na jego ustach ironiczny uśmiech.

— Lękacie się, żebym was nie zdradził — odezwał się w końcu. — Obawy wasze są próżne, nie miałbym w tem żadnego osobistego zysku.

— Dobrze mówisz, Paskalu, bo jeżeli milczeć będziesz, stać się możesz bogatym. Czy ci się to podoba?

— Zapewne...

— A więc...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Z tygodnia.

## Pisma odręczne dwóch cesarzy do Rady regencyjnej.

Dnia 22. b. m. popołudniu nastąpiło równoczesne wręczenie pism odręcznych monarchów mocarstw centralnych Najdostojniejszej Radzie regencyjnej. Pismo odręczne cesarza Karola wręczył przedstawiciel austro-węgierskiego ministerstwa spraw zagranicznych, poseł Ugron, a zaś niemal tej samej treści pismo odręczne cesarza Wilhelma poseł hr. Hutten Czapski.

Przy uroczystym akcie wręczenia byli obecni: jeneralny sekretarz Rady regencyjnej, ks. prałat Chełmicki i referendarz koronny, Kucharzewski.

Pismo Rady regencyjnej, wystosowane do cesarza Karola w dniu 28. października 1917, brzmi:

„Wasza Cesarska i Królewska Mości!

Uznani pismem odręcznem Waszej Cesarskiej i Królewskiej Mości z dnia 14. października 1917 roku, my, członkowie Rady regencyjnej Królestwa Polskiego, ustanowionej patentem z dnia 12 września 1917 r., oznajmiamy, iż wstępujemy w sprawowanie najwyższej władzy państwowej.

Złożyliśmy uroczystą przysięgę w królewskiej katedrze św. Jana, że będziemy sprawować rządy dla dobra powszechnego, ugruntowania niepodległości, potęgi, sławy, wolności i szczęścia ojczyzny polskiej, dla zachowania zgody i spokoju między obywatelami kraju, ceniąc ponad życie i widoki osobiste pomyślność powszechną i ślubowaliśmy rządy oddać w ręce króla, lub regenta państwa polskiego.

Chcemy prowadzić naród ku jego niepodległości państwowej, na podstawie aktów, wydanych przez Waszą Cesarską i Królewską Mość i przez Waszego wielkiego poprzednika, w Bogu spoczywającego cesarza i króla Franciszka Józefa I., w pamiętnych dniach 5. listopada 1916 i 12 września 1917 roku. Na tym gruncie stajemy z lojalnością, godną powagi i wielkości dziejowej chwili, godni dobrej sławy narodu polskiego.

W charakterze członków Rady regencyjnej uważamy, że z aktów tych wypływające logiczne konsekwencye są miarodajne dla naszego stanowiska politycznego.

Jako Rada regencyjna powstającego niepodległego państwa polskiego i powołani przedstawiciele narodu, składamy Waszej Cesarskiej i Królewskiej Mości wyrazy czci i głębokiej wdzięczności za wydanie aktu z 5. listopada 1916 i 12. września 1917 roku.

Przy tem oświadczeniu powołujemy się na życzliwe myśli i zamiary, którym Wasza Cesarska i Królewska Mość dałeś wyraz w Najwyższem piśmie odręcznem z dnia 12 września 1917 roku.

Oczekujemy, że naród polski w dalszym rozwoju wydarzeń dziejowych, oparty na własnej sile zbrojnej i na własnym interesie narodowym, oraz na podstawie łączności w kulturze zachodniej, zmierzać będzie z obu mocarstwami centralnemi ku wspólnym celom politycznym i ekonomicznym.

Korzystamy z tej sposobności, aby Waszą Cesarską i Królewską Mość wraz z nami Boskiej opiece polecić.

Aleksander Kakowski Arcybiskup, Józef Ostrowski, Zdzisław Lubomirski".

Najwyższe pismo odręczne cesarza Karola do Rady regencyjnej brzmi:

„Do Wysokiej Rady regencyjnej Królestwa Polskiego!

Ze szczerem zadowoleniem przyjąłem do wiadomości pismo odręczne, którem polska Rada regencyjna zawiadomiła o objęciu swego urzędu. Głos polskiego narodu wskazał Was, Dostojni Panowie, jako najbardziej powołanych do piastowania najwyższej godności w nowem państwie polskiem, a mój Najdostojniejszy Sprzymierzeniec i ja chętnie dokonaliśmy na wniosek komisyi przejściowej Tymczasowej Rady Stanu powołania Panów na regentów Królestwa Polskiego.

Oświadczenia, złożone w piśmie do mnie wystosowanem, dowodzą, że zdajecie sobie Panowie w całej pełni sprawę z wielkich obowiązków i zadań, jakie Polska stawia pierwszym przedstawicielom swej władzy państwowej. Niemniej świadomi jesteście Panowie konieczności dalszego budowania Polski na stworzonych dla niej nowych podwalinach i daliście temu niedwuznaczny wyraz, wskazując na akty z 5. listopada 1916 i 12. września 1917 roku, jako podstawy dalszej swej działalności. Uroczystemu uznaniu przez Panów tych doniosłych aktów państwowych ufam najzupełniej i wiem, że Wysoka Rada regencyjna pozostanie zawsze wierną wytycznym, które zakreśliła sobie sama w piśmie do mnie wystosowanem.

Podzielam przekonanie Panów, że na gruncie łączności z państwami centralnemi dane są warunki bytu, zapewniające państwu polskiemu bogaty rozkwit, a obywatelom jego dobrodziejstwa pokoju, i dobrobytu i żywię nadzieję, że Polska powołana jest do tego, by w wolnem, z własnego postanowienia płynącem połączeniu z zachodniemi mocarstwami sąsiedniemi wejść w nowy okres wielkości państwowej i stać się dla Europy ważnym czynnikiem rozwoju w duchu ideałów kultury zachodniej.

Witam więc Panów serdecznie w Waszej nowej godności i życzę Panom owocnej działalności dla dobra zmartwychwstałego narodu polskiego.

Błogosławieństwo Wszechmocnego niech towarzyszy Waszej pracy!

Kwatera cesarska 17. listopada 1917.

Karol mp."

## Premier węgierski o sprawie polskiej.

Dr. Wekerle, odpowiadając na interpelacyę posła Tiszy w sprawie polskiej, oświadczył:

„Strzeżenie naszych interesów wymaga tego, aby nasz minister spraw zagranicznych, w związku z przygotowaniem warunków pokojowych, zajmował się nie tylko tymi nowymi tworami państwowymi i zmianami terytoryalnemi, które nas bezpośrednio dotyczą, lecz także temi, które nas dotyczą pośrednio, aby mógł być przygotowany do strzeżenia naszych interesów wobec wszelkich ewentualności. Rokowania o formę, w której zamierzamy zorganizować nowy twór państwowy Polski i zabezpieczyć go trwale na przyszłość, są teraz w toku, mogą zaś być ostatecznie uregulowane tylko przy zawarciu pokoju".

W imieniu własnem i w imieniu całego narodu węgierskiego wyraża prezydent ministrów radość, że sławny naród polski budzi się do nowego życia państwowego, oraz nadzieję że siła narodu polskiego, rosnąc w nowem życiu państwowem, zapewni mu w rodzinie narodów przyszłość piękniejszą i lepszą, bardziej odpowiadającą jego świetnej przeszłości.

Co do odbywających się rokowań, może prezydent ministrów już dziś dać zapewnienie w dwóch kierunkach, a mianowicie, że parytetyczne stanowisko naszego państwa, nasza zagwarantowana ustawami samodzielność, oraz nasze gospodarcze interesy będą bezwarunkowo strzeżone, powtóre, że sprawa polska, o ile dotyczy ona stosunku nowego państwa polskiego do naszej monarchii, będzie przed łożoną kompetentnemu osądzeniu legislatywy.

Odpowiedź prezydenta ministrów przyjęła Izba, wśród żywych oklasków, do wiadomości.

## Propozycye pokojowe Rosyi.

Jak donosi Pet. Ag. Tel. oświadczenie, przesłane przez komisarza ludowego dla spraw zagranicznych, Trockiego, ambasadorowi francuskiemu, które zostało również doręczone innym ambasadorom w Petersburgu, brzmi:

„Niniejszem mam zaszczyt podać do wiadomości pana ambasadora, że kongres rad generalnych robotników, żołnierzy i chłopów z całej Rosyi w dniu 26. października (8 listopada) powołał do życia nowy rząd dla całej Rosyi, którym jest Rada komisarzy ludowych. Na przewodniczącego rządu wyznaczono Włodzimierza Iljicza Lenina. Politykę powierzono mojej pieczy, przez zamianowanie mnie komisarzem ludowym dla spraw zagranicznych.

Przedkładam panu ambasadorowi do rozważenia dosłowne brzmienie uchwały rad generalnych delegatów robotniczych, żołnierskich i chłopskich, zawierających propozycye rozejmu i pokoju demokratycznego, opartego na zasadach niezawisłości narodów i ich prawa do samostanowienia o swym rozwoju, bez aneksyi i kontrybucyi i mam zaszczyt zaproponować panu, aby uważał wspomniane pismo za urzędową propozycyę natychmiastowego rozejmu na wszystkich frontach i natychmiastowego rozpoczęcia rokowań pokojowych.

Rząd republiki całej Rosyi czyni tę propozycyę wszystkim narodom i wszystkim rządom.

Zechciej pan, panie ambasadorze, wyrazić francuskiemu narodowi zapewnienia pełnego szacunku, jaki żywi dla niego rząd Rad generalnych, który to naród nie będzie mógł powstrzymać się od żądania pokoju, jak zresztą wszystkie prowadzące wojnę narody, ociekłe krwią i wyczerpane rzezią".

## Pożyczka zwycięstwa.

Pod tym napisem wywodzi p. dr. Otto Stein wender w „*N. W. Tagblacie*":

„Z nad Isonzo i Tagliamento, wśród straszliwego huku dział, dochodzi wiadomość o najwspanialszych i najradośniejszych, jakie wyobrazić sobie można, zwycięstwach. Tak, Bóg da, potoczą się dni nowe, śpieszące ku zwycięskiemu zakończeniu. Niezmiernie drogo opłacony będzie ten koniec. Co roku setki tysięcy padały, kwiecie narodu zniszczone, a na miliony tych, którzy pozostali, zwaliła się ciężka żałoba. Ale wytrzyma się to i w polu i w domu, a ci, co pracują na roli i w warsztatach, w fabrykach i kopalniach, w kancelaryach i na kolejach, skazani na niesłychanie trudne warunki bytu, ci wszyscy nie są zaprawdę niewarci swych pełnych chwały bojowników.

Jeśli w takiej chwili państwo zwraca się znowu do tych, którzy nabyli swe majątki lub je pomnożyli w czasie wojny, to jedna tylko dana może być odpowiedź że ci, którzy coś posiadają spełnią swój obowiązek. Spełnili go dotąd niezaprzeczenie. Pierwsza pożyczka wojenna dała 2 2, druga 2 7 trzecia 4 2 czwarta 4 5, piąta 4 5, szósta 5 2 miliardów. Siódma nie może dać się zawstydzić poprzedniej. Wydatki rosną, im bliższy koniec i jeśli ludowi w polu i ludowi przy pracy w domu więcej, niż przedtem, zdziałać się udało, to również mienie, o którem także rozstrzyga wojna, musi działać, na co tylko stać je. Nie mamy też żadnego powodu do powątpiewania, że patryotyczny ten obowiązek spełniony będzie przez setki tysięcy, którym wypadnie to nierównie łatwiej, aniżeli spełnienie obowiązku przez miliony innych, zwłaszcza, że łączy się on z pożytkiem".





# Kronika tygodniowa.

A jednak przekonuję się na każdym kroku, iż zajmowanie się sprawami aprowizacyjnemi ma swe uzasadnienie. Dowodem tego, choćby tylko Bułgarya, gdzie przyspieszono z tego powodu zwołanie sobrania, a car Ferdynand, choć się ze mną bynajmniej nie porozumiał i *Nowości illustrowanych* prawdopodobnie nie czytuje, właśnie sprawom aprowizacyjnym poświęcił lwią część swej mowy tronowej.

Także austryacki minister od żołądkowej amunicyi, czyli wyżywienia, ekscellencya Höfer, coraz częściej w tej kwestyi zabiera głos, bo z niczem tak poważnie liczyć się nie powinno, jak z zaopatrzeniem ludności w chleb codzienny. Cóż bowiem znaczą wszystkie zwycięstwa poza granicami kraju, gdy wewnątrz grozi nam widmo głodu?

Parlament wiedeński radzi, zajmuje się różnemi sprawami, więc też i aprowizacyą ludności, ale jakoś nie tak intenzywnie, jakby się spodziewać należało, ze względu na jej ważność i znaczenie. Nie mógł też, wobec ogólnej biedy, pozostać w tyle wyżej wspomniany minister od spraw żywnościowych i zabrał onegdaj głos, aby stwierdzić, że jest nawet gorzej, niż przypuszczano, wobec czego należy się poważnie liczyć z wydaniem nowych zarządzeń, które umożliwiłyby „przetrzymanie“.

W Austryi, jak zaznaczył, stoi się wobec dylematu: „Rolnicy narzekają na bezwzględność rekwizycyi, konsumenci z rozpaczą twierdzą, że głodują“.

A jak się zdaje i jedni i drudzy mają słuszność, zwłaszcza, jeśli się przypatrzymy dokładniej galicyjskim stosunkom.

Jak rozwiązać ten problem i jakie mogą być przyczyny tego obopólnego niezadowolenia producentów i konsumentów, oto pytanie, które sobie postawił minister. W odpowiedzi na nie stwierdził zaraz, że Austrya, choć kraj niby to przeważnie rolniczy, nigdy nie wystarczała sobie pod względem produkcyi rolnej, a, jeśli się do tego doda jeszcze okoliczność, iż tegoroczne obliczenia urzędowe co do wydatności zbiorów okazały się zbyt optymistycznemi, przeto w obecnym roku gospodarczym, zaczynającym się po żniwach, a kończącym się wiosennym przednowkiem, jesteśmy bardziej, niż kiedykolwiek skazani na dowóz z zagranicy.

Dotychczas była dla nas ową ziemią obiecaną, w której stronę obracały się oczy wszystkich głodomorów i wzdychały ich żołądki, Rumunia. Obecnie dowiadujemy się z przykrością, że dowóz stamtąd jest już zupełnie wyczerpany. Z tego źródła będzie można otrzymać najwyżej nieco kukurudzy... i to dopiero na wiosnę. Dowóz z Węgier napotyka stale na rozmaite trudności, pozostaje więc ostatecznie trzecie miejsce pomocy, to jest Niemcy.

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, iż stamtąd otrzymała już Austrya cztery tysiące wagonów ziemniaków, (czy przypadkiem nie galicyjskich?...), które przeznaczono dla Tyrolu, Solnogrodu itd., o dalszych dostawach niema nawet mowy.

Któż więc ma się przyczynić do zaspokojenia głodu ludów, zamieszkujących kraje, reprezentowane w Radzie państwa?... Chyba jedna, jedyna Galicya, której „wyodrębnienie“ czynniki wiedeńskie pojmują w ten sposób, iż nic jej dać nie potrzeba, a ciągnąć stamtąd powinno się jak najwięcej. Naznaczono też Galicyi zrazu kontyngent ziemniaków, mających być dostarczonymi dla ogółu, na ośmnaście tysięcy wagonów, ale wnet się poprawiono i, ze względu, że kraj ten najbardziej ucierpiał z powodu wojny, podwyższono go na trzydzieści pięć tysięcy. Urzędowo uznano to za wymiar szczególnie niski, za specyalny przywilej, udzielony tylko w drodze najwyższej łaski.

Wspominano też, że mogłyby nam może przyjść z pomocą Turcya i Bułgarya, nasze sojuszniczki, z góry jednak zaznaczono, że i stamtąd nic się nie wyciągnie!

Tyle mniejwięcej streszczenia mowy ekscellencyi Höfera, a sens moralny z tego taki, że nie można i nie powinno się spodziewać, by się stosunki zmieniły na lepsze, owszem, trzeba się nawet cieszyć, jeśli nie będzie gorzej, niż jest obecnie.

Parlament zajęła ta mowa szefa urzędu dla wyżywienia ludności, reagowało na nią nawet i Koło Polskie, a jego przedstawiciel zaznaczył, iż „Koło nie będzie dalej mówić, jak do ściany, ale wezwie ludność, by sama pomyślała o sobie“. Nareszcie przecież otwierają się ludziom oczy. Posłowie dochodzą do przekonania, że rząd musi znaleźć dość powagi i sił, tak wobec swego sprzymierzeńca, który zabiera od nas, co się da, w zamian nic, albo bardzo mało dając, jak i wobec swego węgierskiego wspólnika, który stale odmawia dowozu, choć ma dość dla siebie, więc mógłby się podzielić z mniej mającym, zwłaszcza, że losy jego ściśle z nim są związane.

Również bardzo ważnem zagadnieniem obecnej chwili jest gruntowna a celowa przebudowa gospodarki wszelkich centrali, a w związku z tem skuteczna walka z lichwą żywnościową i handlem pokątnym. Dotychczasowy sposób wykonywania władzy przez tak zwane Urzędy dla badania cen okazał się nieodpowiednim, należy więc oglądnąć się za środkami zaradczymi.

Ze te urzędy nie funkcyonują tak, jak powinny, przyczyn daleko szukać nie trzeba, należy sobie tylko przypomnieć to, o czem poprzednio wspominałem, omawiając działalność różnych centrali, że sprawy tak ważne dostają się po największej części w ręce ludzi niefachowych, z czego skwapliwie korzystają gromadzące się przy ich boku stada różnego rodzaju hyen i szakali.

Przykładem, może słabym, tego systemu, jaki rozpanoszył się w sferach dostawców, czy to dla armii, czy też dla jakiej centrali, lub innej instytucyi, jest przedewszystkiem prawie zupełny brak kontroli nad takim panem, który otrzymuje dokument, uprawniający go do zakupna tu i tam takich a takich artykułów dla tej lub owej instytucyi, ale nikt się nawet nie spyta, czy wszystko, co na tej podstawie nabył, naturalnie po cenie minimalnej, poszło tam, dokąd iść miało?... Łatwo przecież stać się może, że część owych zakupionych artykułów powędrowała do prywatnych magazynów i nie ujrzy światła dziennego, dopóki ceny nie pójdą w górę. Znam ludzi, którzy w ten sposób pracują w pocie czoła dla dobra ogółu, nie zapominając przytem i o sobie samych, bo przecież „bliższa koszula ciała, niż... kamizelka“.

Na tem polu więc, choćby dopiero w czwartym roku wojny, należałoby przeprowadzić gruntowną zmianę i reorganizacyę w duchu praktycznym, przy współudziale sił fachowych, a nie spekulantów, a jestem pewny, że obie strony wyszłyby na tem jak najlepiej. Rząd nie wydawałby tyle pieniędzy, jak dotąd, ogół nie musiałby się obchodzić bez rzeczy najniezbędniejszych. Hyeny i szakale niech zadowolnią się swą dotychczasową zdobyczą i ustąpią z pola, bo najwyższy czas dla nich, jeśli się chcą z tego „szlachetnego“ przedsiębiorstwa wycofać z honorem.

Myslę, że o aprowizacyi, jak na dziś wystarczy, poruszyłem tę kwestyę tylko z tego powodu, że zajmował się nią w stosunku do Bułgaryi car Ferdynand, o austryackich stosunkach mówił minister Hofer, wobec czego i kronikarz nie mógł pozostać w rezerwie i musiał w obronie Galicyi i jej mieszkańców wtrącić swe „trzy grosze“, jako iż sprawa jest i ważną i aktualną. Oby jego głos nie był głosem wołającego na pustyni, przemawia bowiem nie tylko w imieniu swojego żołądka, ale i setek tysięcy Czytelników, również głodnych i wychodzących z zasady, że, chcąc obecne sprawy do pożądanego końca doprowadzić, należy się przedewszystkiem postarać o chleb codzienny dla ogółu. Można więc zmienić zdanie owego filozofa, który rzekł, iż do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy na maksymę: „Chleba, chleba i jeszcze raz chleba!“... To zdanie nasi wielcy politycy niech sobie wezmą do serca i robią tak, by było nadal lepiej, nie gorzej.

Mowa ministra Höfera nie dodała nam bynajmniej otuchy, nawołują więc kronikarze do nietracenia nadziei, że, co jest złe, to się przecież może poprawić, boć na świecie niema nic tak złego, na co nie znalazłyby się środki, jeśli nie zapobiegawcze, to przynajmniej zaradcze. By je jednak znaleźć, trzeba mieć bodaj odrobinę dobrej woli i miłości bliźniego, a wyzbyć się chciwości i sobkowstwa.

Co do pieniędzy, to podobno ich u nas nie brakuje, skoro Bank austro-węgierski wybił ich kilkanaście miliardów i w całości w ruch puścił, że one jednak nie mają tej wartości co dawniej, to prawda, ale nie z tego powodu, iż papier, na którym je odbito, jest dość lichy. Przyczyny są inne, ponieważ zaś nie jestem ekonomistą z zawodu, pole do popisu w tym kierunku zostawiam fachowcom, stwierdzając jedynie, że sam obchodzę się zupełnie bez monety obiegowej, prowadząc, nauczony doświadczeniem, tylko handel zamienny. Nie wychodzę na tem ani zbyt źle, ani zbyt dobrze, w każdym razie jestem w tem miłem położeniu, że dotąd z głodu nie umarłem i sądzę, że jakoś przecież przetrzymam aż do chwili, gdy nam Anioł pokoju kiwnie różdżką oliwną... Dawniej myślałem, że w roli jego wystąpi pan Wilson, zawiodłem się jednak srodze i nigdy mu tego nie daruję. Gdybym był obywatelem Stanów Zjednoczonych, miałby stanowczo o jeden głos mniej przy najbliższych wyborach na prezydenta.

Skoro już mowa o pieniądzach, to napomknę o owym niezwykłym zastawie, o którym wyczytałem w Kuryerku. Dzielny Portugalczyk, pan Jan de Castro, bawiąc w Indyach, a nie mogąc w inny sposób zdobyć monety, której gwałtownie potrzebował, postanowił po głębokim namyśle zastawić swój... wąs! Wzruszyło to zwłaszcza płeć nadobną, skoro ujrzała uciętą ozdobę rycerskiej postaci, naskładano też tyle pieniędzy, iż pan Castro nie tylko opędził swe potrzeby, ale mu nawet wiele zostało, czyli, innemi mówiąc słowy, dzięki swemu wąsowi zamknął budżet nadwyżką, nie deficytem.

Gdyby coś podobnego dało się dziś przeprowadzić, wybieralibyśmy na prezydenta miasta tylko męża z potężnymi wąsami, by miał tem większy kredyt, dyrektorami banków i innych instytucyi finansowych byliby tylko sami wąsale, a taki bezwąsy pan Wilson musiałby, jako nie przedstawiający realnej wartości, pójść w tył i zejść na drugi, albo nawet i dalszy plan.

Zupełnie zaś tego samnego życzę i panu Lloydowi George'owi, za pokrzyżowanie mych planów politycznych. Choć posiada wąsy, stracił u mnie wszelki kredyt od chwili swej podróży do Paryża, gdzie poprzewracał wszystko do góry nogami i przyczynił się do obalenia dawnego gabinetu, a powołania nowego, wybitnie wojowniczo usposobionego. Ma to być niezbitym dowodem, że koalicya, pomimo klęski Włochów i rewolucyi w Rosyi, o pokoju nie myśli wcale, ale postanowiła prowadzić wojnę aż do ostatecznego zwycięstwa. Wszelkie zakusy pokojowe ma zgnieść w zarodku nowy premier francuski, pan Clemenceau, zdeklarowany antipacyfista.

W Rosyi natomiast, jeśli można wierzyć zapewnieniom pism codziennych, ma podobno brać górę prąd pokojowy, a zwolennicy Lenina, będący obecnie górą, dążą, jak słychać, do zawarcia na razie zawieszenia broni z mocarstwami centralnemi, a zaraz potem do wdrożenia kroków pokojowych. Czy tak jest jednakowoż, a jeśliby nawet tak było, czy oni długo utrzymają się u steru, powiedzieć nie można, gdyż Rosya stała się obecnie krajem niespodzianek politycznych. Niczem w kalejdoskopie zmieniają się obrazy, stary rząd robi miejsce nowemu, a byli kierownicy polityki i opinii publicznej przechodzą na emeryturę, którą pozwolono im odsiedzieć w twierdzy petro-pawłowskiej. W miłej zgodzie, spotkawszy się tu, oczekują przedstawiciele najrozmaitszych stronnictw swojego dalszego losu i spodziewanych dalszych towarzyszy niedoli. Obecnie miejsce Kiereńskiego zajął Lenin, kto zaś po nim nastąpi, dotąd niewiadomo. W każdym razie można zupełnie słusznie nazwać rządy obecne w Rosyi rzeczywiście tymczasowymi lub przejściowymi, gdyż członkowie ich rządzą w samej rzeczy bardzo krótko, a potem „przechodzą“ z pałacu ministeryalnego do turmy.

Czy następcy bolszewików będą również pokojowo usposobieni, o tem wie chyba jeden jedyny ambasador angielski, pan Buchanan, kronikarz zaś *Nowości illustrowanych* stwierdza jedynie, że w Rosyi panuje obecnie ogólne „bezhołowie“, polegające na tem, iż politycy walczą, a żołnierze politykują.

Wobec tego rodzaju sytuacyi, propozycye pokojowe, idące z nad Newy, nie powinny bynajmniej naszych pacyfistów cieszyć, tembardziej zaś nie mogą przerażać tych, którzy w rychłem ukończeniu wojny widzą swą stratę materyalną. Nikt nie może przewidzieć, jaki tam w najbiższym czasie wiatr zawieje, zwłaszcza, że owym nowoczesnym Eolem, który nimi kieruje, nie jest nikt inny, jeno pan Buchanan w swej własnej osobie! Dopiero z chwilą, gdy go stamtąd przepędzą, będzie można mówić o upadku sympatyi dla koalicyi na giełdzie politycznej i o ewentualnem zakończeniu wojny, w każdym razie nie zwycięstwem, gdyż z tą myślą już się dawno Rosya pożegnała.

Jak więc z tego wszystkiego widać, jaskółki pokojowe odleciały od nas na jesień, ale może wrócą bodaj na wiosnę. Tego zdania jest i stróż z kamienicy, gdzie mieszkam, znający się nie tylko na polityce, ale i meteorologii. Przekonałem się o tem z jego przepowiedni, iż między jedenastym a siedmnastym listopada będziemy mieć śnieg. Snieg ów miał wkrótce zniknąć z powierzchni ziemi, a dalsze dni listopada miały się odznaczać wilgotnością, co, jak dotąd, spełniło się co do joty. Grudzień ma być również mglisty, zimny i wilgotny. Gdym go zapytał, skąd wie to wszystko, odpowiedział, że tak „stoi w kalendarzu“. Co się tyczy wojny, zapowiada z zupełną pewnością siebie, iż w tym roku stanowczo ona się nie skończy... „chyta na wiosnę, ale jeszcze nie wiem na pewne, bo te Moskale coś zanadto bałamucą“...

To są jego własne słowa, a nie wątpię, że mówił z przekonania, nie zaś dla interesu, o ile go bowiem poznałem, jest również, jak i ja, zdeklarowanym pacyfistą, na wojnie traci, a nie zarabia, więc cieszyłby się chyba z jej rychłego zakończenia.

Z głosami maluczkich należy się liczyć, gdyż sąd ich często bywa daleko wytrawniejszy, niż nawet tych, co to w polityce robią od samego urodzenia.

# Zagadki do nagrody.

### Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Markiewicz, poczta pol 378

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

-o---y--u--u,-u---i----u--u!

### Łamigłówka.

Ułożył J. Markiewicz legionista, Przemyśl

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie

—uma
—sty
—oga
—gut
—aka
—rak
—ara
—rma
—bro
—awa
—ura
—mer

### Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Markiewicz, Przemyśl.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

a, a, ą, d, d, e, ę, g, i, i, l, n, p, r, u, w, z, z.

### Trójkąt magiczny.

Ułożyła H. Siwakówna, Przedrzymiechy.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko współczesnego polskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — —
□ — —
□ —
□

*Znaczenie wyrazów*: 1. Szukane wyrazy. 2. Urząd. 3. Inaczej ubezpieczenie 4 Jeden z alpejskich szczytów. 5 Konserwa 6 Imię żeńskie 7 Morski ssak. 8. Przyprawa potraw. 9 Inaczej uczeń. 10. Brat śmierci. 11. Przyimek. 12. Samogłoska.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A sęki podrą goloną żabę.

### Grzebieniówka.

Ułożył Ed. Skadzień, Zawada.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko poety polskiego.

| | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| □ | □ | □ | □ | □ | □ | □ | □ | □ | □ | □ | □ | □ |
| — | | — | | — | | | | — | | — | | — |
| — | | | | — | | | | — | | — | | — |
| — | | — | | | | | | | | — | | — |
| — | | — | | — | | — | | — | | — | | — |
| — | | — | | — | | — | | — | | — | | — |
| — | | — | | — | | | | — | | — | | — |

*Znaczenie wyrazów*: 1. Rodzaj noża. 2. Miasto w Królestwie Polskiem 3 Kolonia włoska w Afryce 4. Rzeka w Ameryce 5 Kraj w Ameryce 6. Rzeka we Francyi. 7. Inaczej atrament

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Markiewicz, legionista, Przemyśl

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Walcz! Lis bierze pewne kury u wrót

### Zagadka kryształowa.

Ułożył Legionista z Krakowa.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwę miejscowości, znanej z historyi polskiej.

■
— ■ —
— — ■ — —
— — — ■ — — —
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — ■ — — —
— — ■ —
— ■ —
■

*Znaczenie wyrazów*: 1. Spółgłoska. 2 Ziele usypiające 3. Imię żeńskie 4 Powleczenie jednym z szlachetnych metali. 5. Szukany wyraz 6 Rzecz niezbędna na każdym okręcie 7 Gatunek gleby. 8 Wykrzyknik 9. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jana Kasprowicza*: **Sita** (Indyjski hymn miłości w trzech odsłonach).

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 46.

**Zadanie do przestawienia**: Nie wszystko złoto, co się świeci

**Kwadrat magiczny**:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| R | o | s | ó | ł |
| p | a | ł | a | c |
| m | y | d | ł | o |
| P | o | t | o | p |
| C | h | e | ł | m |

**Szarada**: Szałamaja.

**Łamigłówka**:

Rad
z-z
Ali
nie
t-a
bez
iza
sad
gru
los
raz
leo
sny

**Zadanie do przestawienia**: Nosił wilk, ponieśli i wilka

**Logogryf**:

S
l s e
S t y k a
Z y g m u n t
k r o w a
d n o
w r o n a
p r a w n i k
m n i c h
o e h
s

**Zadanie do przestawienia**: Złotnik w cichości tysiączne kształtuje klejnoty, u kowala pełno huku za szóstak roboty.

**Logogryf**: Dąbrowski.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp*: D. Łodyńska Kraków M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Pianecka Kraków Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Gaiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, S Drozdowski Lwów, K Górecki, Tarnów, J Koziowski Lwów, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M Kowalska Kraków, W Majewska Stryj, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K Borowiecki Lwów M Golska Wiedeń, M. Kaczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Wysoczański, Poznań**. Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.